

Day Leclair

*Smak cytryn*

## PROLOG

- Nie interesuje mnie, jak to zrobicie. Moja wnuczka musi wyjść za mąż za Luciena Kincaida.

Shadoe usiadł za stołem. Spod zmarszczonych brwi rzucił krótkie spojrzenie swojej matce, chrząknął i odezwał się niepewnie:

- Pani Featherstone...

Kobieta nie dała mu skończyć.

- Wszyscy zwracają się do mnie Nanna. Albo babcia. Od dawna nie reaguję na żadne inne imiona - sucho poinformowała gości i postawiła przed nimi talerz pełen kruchych ciasteczek owsianych i dwie wielkie szklanice mleka. Był to typowo teksański poczęstunek. Adelajda, być może, potrafiłaby siłą swojej stalowej woli przeciwstawić się starszej pani, Shadoe jednak miał absolutną pewność, że jeśli nie chce narazić się na jej gniew, będzie musiał skosztować całego przydziału.

- Pani Nanno. Jesteśmy pani bardzo wdzięczni za zaufanie okazane Klubowi Samotnych Serc. Ale czy zdaje sobie pani sprawę z pewnej drobnej niedogodności, jaką jest negatywny stosunek Raine do stanu małżeńskiego?

- O czym pan mówi? Raine pragnie wyjść za mąż - ucięła Nanna i wymownym gestem skrzyżowała ramiona na piersi. Była to drobna, lecz dość wysoka kobieta o siwiejących włosach, splecionych w gruby warkocz, który niczym korona otaczał jej głowę. Mocna, wyprostowana sylwetka i bystre, jasnozielone oczy aż promieniały wewnętrzną siłą. Tak, oczy Raine

najwyraźniej odziedziczyła po babci. - Każdy, kto chciałby temu zaprzeczyć, jest albo skończonym idiotą, albo kłamcą.

Shadoe pokręcił głową.

- Szczerze mówiąc, Raine sama to przyznała.

- Niewykluczone. I co z tego? To kochana dziewczyna, ale mogło jej się pomieszać w głowie. Już kiedy była podlotkiem, ciągnęło ją do tego Kincaida jak pszczołę do miodu.

Adelajda postanowiła przerwać milczenie, które na moment zapadło.

- Zdaje sobie pani sprawę, że Klub działa w ukryciu.

- Oczywiście! Dlatego wszyscy o was wiedzą. Jedna z wielu tajemnic poliszynela. - Nanna uśmiechnęła się cierpko i podsunęła talerz pod nos Shadoe'a. - Proszę tylko, byście zrobili dla Raine to, czego dokonaliście w przypadku Tess i Emmy. Nic więcej.

- Nawet jeśli Raine nie jest zainteresowana?

- Ależ ona jest zainteresowana Lucienem, choć nigdy nie przyzna się do tego, nawet sama przed sobą. Uparta jak stado osłów. Idę o zakład, że wystarczy pchnąć ich w tę samą stronę, a natura już zadba o resztę.

- Lucien i Raine znają się od lat. Skoro do tej pory, jak pani to nazywa, natura ich nie połączyła, może nie należy podejmować interwencji z zewnątrz? - Shadoe z żelazną logiką zakwestionował wywód starszej pani.

- Trele-morele! Gdyby nie splot pewnych wydarzeń, które negatywnie wpłynęły na naturalny bieg rzeczy, już od dziesięciu lat byłiby pożenieni. Ale kiedy Lucien zabił mojego męża... - westchnęła ciężko.

Shadoe omal nie udusił się owsianym ciasteczkiem. Adelajda zamarała.

- Co?! - wykrzyknęli oboje.

- Więc wasze badania nie wykazały tych faktów? - Nanna

spojrzała na nich zaskoczona, a kiedy pokręcili w osłupieniu głowami, wyjaśniła: - To nie żadna tajemnica. To był tragiczny wypadek. Paps, mój mąż, wdał się w jakąś sprzeczkę z Lucieniem. Niestety, dla poparcia swoich argumentów użył strzelby. No i kiedy już było po wszystkim, przy życiu został tylko Lucien. Odtąd stosunki między naszymi rodzinami nieco się ochłodziły. - Stoickiemu opanowaniu w głosie starszej pani zadawały kłama łzy, które załśniły w jej oczach. - Pora już przestać żyć przeszłością i zadbać o przyszłość - dodała stanowczo, pochylając głowę.

Shadoc odłożył na talerzyk ciasteczko, które trzymał w dłoni od dziesięciu minut.

- Chyba źle zrozumiałem. Chce pani, by Raine wyszła za mąż za człowieka, który zastrzelił jej dziadka?

Nanna spojrzała mu prosto w oczy.

- Czas leczy rany - powiedziała cicho. W jej oczach pojawiła się niezwykła mieszanina uczuć - pogodzenie z losem i bezgraniczna nadzieja.

- Widzę, że pani rany zostały zaleczone - odparł Shadoc z cichym podziwem. - Ale co z Raine?

Nanna zadziornie uniosła brodę.

- Raine zasługuje na szczęście. Przez ostatnich osiem lat pracowała jak stado wołów, by ratować ranczo. Jej życie to jedno wielkie poświęcenie. Pora z tym skończyć. Tylko jedno może ją uratować.

- Ślub?

- Lucien ją kocha - ciągnęła cicho Nanna. - Nie pozwoli, by poświęciła całe życie dla czegoś tak nieistotnego jak kawałek ziemi. On potrafi ją uszczęśliwić. To dobry chłopak. A co najważniejsze, da jej tuzin małych, słodkich bobasów. W naszym domu znów zagości radość. Czy jest coś ważniejszego na świecie? Coś wspanialszego?

Adelajda ze zrozumieniem pokiwała głową i sięgnęła po ciasteczko.

- Sprawdziliśmy, i nie ma wątpliwości, że Lucien byłby dla Raine odpowiednim mężem - przyznała spokojnie. - Oczywiście, gdyby nie ten nieszczęsny incydent.

- A więc wyślecie do nich tego swojego człowieka?! - zawołała Nanna z radością.

- Tak. Ale pod pewnymi warunkami. Po pierwsze, o naszej umowie wiemy tylko my. Ostatnio, kiedy osoba zainteresowana znała szczegóły naszych poczynań, wszystko omal nie spaliło na panewce. - Shadoe z powagą pokiwał głową. Adelajda posłała Nannie pocieszający uśmiech. - Niewiele brakowało.

- Obiecuję milczeć! - zawołała Nanna z zapałem.

- W porządku. Po drugie, my zainicjujemy tylko pewne korzystne sytuacje. O tym, jak dalej potoczą się sprawy, zdecydują już Lucien i Raine.

- Możecie im zaufać. Dadzą sobie radę.

- Po trzecie, ingerujemy tylko jeden jedyny raz.

Nannie nieco zrzędzła mina.

- Tylko raz? Czy zdajecie sobie sprawę, jacy oni są uparci? Stado mułów nie dałoby im rady!

- Jeden raz albo wcale - ucięła Adelajda.

Nanna pomyślała chwilę, po czym odparła posepnie:

- Dobrze, niech i tak będzie. Lepsze to niż nic.

Adelajda stuknęła jej szklanek swoją szklanką mleka i pochyliła się nad nią konfidencjonalnie.

- A więc umowa stoi. Na początek.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Lucien Kincaid spojrział na posępne granatowe niebo i pokręcił głową. To nie najlepszy czas na konną przejażdżkę. Jeszcze policzy się z Raine Featherstone! Też sobie wybrała odpowiedni dzień! W dodatku dość nieoczekiwanie.

Lucien ujrzał przed sobą niewielkie wzniesienie i cmoknął cicho, by dodać odwagi swojemu gniadoszowi. Koń wspiął się na szczyt, skąd rozciągał się widok na pofałdowany teksański krajobraz. W oddali rozbłysła błyskawica i Poke cicho zarżał.

- Jak myślisz, Poke? Czy ta baba specjalnie wyciągnęła nas z domu, żebyśmy skończyli trafieni piorunem gdzieś na wapienym stoku?

Koń, zgodnie z końskim zwyczajem, pokiwał łbem i prychnął, jakby w ten sposób dawał wyraz swojemu oburzeniu na kobiecą perfidię. Lucien, po prawie dwunastu latach przyjaźni z Pokiem, bezbłędnie odgadywał zamiary i myśli gniadosza, które często odzwierciedlały jego własne. Zresztą, Poke nieźle znał się na ludziach i traktował ich z pewną dozą sceptycyzmu i pobłażania. No, ale Poke to niezwykły koń. Lucien czule poklepał swego ulubieńca po szyi.

Ten bystry konik nie zdołał się nauczyć tylko jednej rzeczy - że pięknym kobietom nie wolno ufać. Zwłaszcza jeśli natura wyposażyła je w czarne jak noc, sięgające do pasa włosy, wielkie, jasnozielone oczy i melodyjny, hipnotyzujący głos. Takich kobiet należy unikać za wszelką cenę. A zatem, co on tu robił?

Wystarczyło, by dostał jakiś, dość obraźliwy zresztą, liścik, a już śpieszył na wezwanie.

Poke parsknął wymownie i Lucien musiał się z nim zgodzić.

- Ja też tak myślę. Ona ma złe zamiary. Ale jakie?

Niestety, istniał tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć. Lucien nasunął głębiej na oczy kapelusz firmy Stetson i chyba po raz dwudziesty w przeciągu ostatnich paru minut wyciągnął z kieszeni pomiętą kartkę. I tym razem autorytatywny ton liściku podziałał na niego jak krwistoczerwona płachta na byka.

*Kincaid! Spotkajmy się w pasterskiej chatce na północnej granicy naszych ziem. Pamiętasz, draniu? Tam, gdzie zniszczyłeś moją reputację, kiedy byliśmy dziećmi.*

Draniu? Dzieci? O co jej chodzi? Byli w tym wieku, by wiedzieć, co ryzykują. Tyle że namiętność odebrała im rozum!

- *Dziś o piątej po południu. Staw się albo pożałujesz*- R.

To wielkie, zamaszyste R było typowe dla Raine. Żadnych ozdobników, żadnej kurtuazji. Lucien gniewnie zmiął kartkę i rzucił na wiatr. Wzmagający się huragan porwał papier w swój wir i uniósł w stronę pobliskiego wapiennego urwiska.

Po chwili w oddali ukazała się wreszcie pasterska chatka. Stała przytulona do olbrzymiego, pochylonego ze starości wiązu. Z jednej strony, tam gdzie ziemia obsunęła się w koryto sezonowej rzeczki, sterczały obnażone korzenie drzewa. Teraz, po długim bezdeszczowym lecie, gleba wokół była sucha, spalona bezlitosnym, teksańskim słońcem. Ale Lucien wiedział, że wystarczy niewielki deszczyk, by korytem popłynął rwący strumień. Sądząc po kłębiących się na niebie chmurach, było to możliwe jeszcze dzisiaj.

- No, Poke. Dość czasu zmitrężyliśmy. Dowiedzmy się, o co babie chodzi i zmiatajmy do domu, póki jesteśmy cali i zdrowi.

W objęciach rozłożystych konarów wiązu chatka wydawała się jeszcze lichsza. Targane wiatrem gałęzie głucho uderzały

o naznaczony upływem czasu blaszany dach. Lucien nie wkładał dość serca w naprawę. Zresztą, gdyby słuchał głosu serca, dawno zrównałby chatkę z ziemią. Zwyciężył jednak rozsądek i domek się ostał. Przydawał się na te nieliczne okazje, gdy któryś z pracowników, po całym dniu spędzonym na pastwiskach, nie miał już siły, by wrócić do domu.

Lucien podjechał do wiązu i zeskoczył z gniadosza. Między człowiekiem i koniem obowiązywała niepisana umowa: Lucien nie przywiązuje Poke'a, a zwierzę czeka posłuszenie tam, gdzie pan go zostawił. Zresztą, wziąwszy pod uwagę sędziwy wiek konia, z pewnością nie w głowie mu było samowolne brykanie. Unikał wysiłku, gdy tylko mógł.

Lucien zastanawiał się czasem, co to za śmieszne sentymenty powstrzymywały go wciąż przed wysłaniem leniwego Poke'a na zasłużoną emeryturę. Dosiadał konia tylko wtedy, gdy czekał go niezbyt forsowny dzień i gdy musiał się wreszcie przed kimś wygadać.

Nagle w oddali rozległ się głuchy grzmot i konik zarżał. Lucien obejrzał się przez ramię i powiedział uspokajająco:

- Cicho, cicho, Poke! Wiem, że konie boją się burzy, ale to nie moja wina, że musisz tu sterczeć. Jak zobaczysz Raine, możesz jej wygarnąć, co o tym myślisz. - Poprawił kapelusz na głowie i dodał: - Zresztą dołączę się do ciebie z prawdziwą przyjemnością.

Wspiał się po kilku schodkach prowadzących do domku. Na ostatnim zachwiał się i omal nie upadł. Stopień był obluzowany. Musi pamiętać, by to naprawić. Otworzył drzwi i zajrzał do środka. Oczywiście, ani śladu Raine. Drewniana podłoga zakrzypiała pod jego ciężarem.

Minęło tyle lat od ostatniej wizyty. Przed oczami stanęła mu tamta parna, letnia noc, gdy miał niespełna dwadzieścia jeden lat i cierpiał na pierwszą miłość i burzę hormonów. To-

warzyszyła mu wtedy piękna osiemnastolatka, niewiele od niego mądrzejsza, a z pewnością tak samo entuzjastycznie nastawiona i nieobliczalna.

Rozejrzał się po zakurzonej izbie. Właściwie nic tu się nie zmieniło. Ostatni gość zostawił na półkach mnóstwo prowiantu, głównie puszki z fasolą i grochem. Mały piecyk w rogu zdawał się być w całkiem niezłej formie.

Lucien obszedł pomieszczenie, przyglądając się wszystkiemu uważnie. Zauważył, że w niektórych miejscach woda deszczowa przeciekała między listwami i podłoga wymagała naprawy. Będzie musiał przyjechać tu z chłopakami, żeby doprowadzić chatkę do porządku jeszcze przed nadejściem zimy. Przynajmniej pod tym względem przydała się dzisiejsza wyprawa. Nie na darmo narażał konia i siebie, i to tuż przed burzą.

Wyjrzał przez zakurzone okienko. Błyskawice raz po raz przesywały niebo. Kolejny grzmot, tym razem o wiele bliższy, rozdarł ciszę.

Poke zarżał niespokojnie. Odpowiedział mu łagodny, kobiecy głos:

- Ciiicho, Poke, cicho. - W miękkim tonie zdawała się kryć jakaś magiczna moc. - Nikt cię nie skrzywdzi. Dobry konik.

Lucien poczuł, jak po jego ciele przebiegają dreszcze. Zawsze tak było - nie rozumiał, co się z nim dzieje, gdy Raine znajdowała się w pobliżu. Kiedy zaczynała mówić, wokół wytwarzał się jakiś magiczny krąg. Nikt, a szczególnie zwierzęta, nie pozostawał obojętny.

Że też nie potrafił trzymać się na dystans! Myślał, że po tylu latach jego instynkt samoobronny lepiej zadziała. Najwyraźniej nic z tego. Zamiast zignorować list, co zrobił? Potulnie dosiadł Poke'a i czym prędzej przybył na to obraźliwe wezwanie! I to w miejsce, w którym, jak sobie poprzysiągł, jego noga miała nie postać już nigdy więcej.

Otworzył drzwi i oparł się o framugę. Raine obejmowała Poke'a za szyję i cicho przemawiała mu do ucha. Gołym okiem było widać, że jeszcze chwila, a gniadosz całkiem się rozpułnie i legnie u jej stóp. Zdradziecka bestia! Choć w głębi duszy Lucien nie winił konika. Do licha, wszystkie słabsze istoty robiły dokładnie to samo. Mężczyźni też.

Nie było wątpliwości, że Raine to prawdziwa piękność. Jak wszystkie kobiety w jej rodzinie była wysoka, smukła, o kruczoczarnych, gęstych włosach, łamiącym serca spojrzeniu i niezwykłej gracji. Nie to jednak było najgorsze. Najbardziej niepokojące były jasnozielone, przejrzyste oczy i ten zniewalający głos. Raine nieświadomie wykorzystywała te dary niebios od czasów, kiedy była oseskiem.

- Miałeś jej wygarnąć, co o tym wszystkim myślisz, ty nie-cna bestio - mruknął Lucien pod nosem. - A tymczasem co robisz? Najchętniej zjadłbyś ją żywcem z miłości.

Odpowiedziały mu gniewne spojrzenia i konia, i dziewczyny.

- Zostawiłeś go tu samego! - zawołała Raine, przerzucając energicznym ruchem głowy swój czarny warkocz na plecy.

- Może miałem wprowadzić go do środka? - ironicznie zapytał Lucien.

- On się boi burzy! - Z głosu Raine znikły bez śladu magiczne tony, a pojawiła się zgryźliwa rzeczowość, którą poznał tak dobrze w ciągu ostatnich dziesięciu lat. - Powinieneś zostać razem z nim na podwórku.

Poke parsknął, jakby na znak, że zgadza się z Raine. Lucien z pogardą spojrzał na zdrajcę.

- Lepiej się pilnuj, stary, bo nie dostaniesz kolacji - ostrzegł.

Jednak najwyraźniej owies nijak nie dał się porównać z pieszczotami Raine, bo Poke wsparł ciężki łeb o jej opiekuńcze ramię i westchnął z lubością. Gdyby dziewczyna nie była wysoka i silna, z pewnością upadłaby pod tym ciężarem.

Tickle, klaczka Raine, przydreptała do nich z drugiej strony i zaczęła zazdrośnie trącać swą panią w bok, parskając z niezadowolaniem.

To było już dla Luciena za wiele.

- Dość tego, Featherstone. - Niecierpliwie naciągnął stetosona na oczy. - Do rzeczy. Chcę wrócić do domu, zanim na dobre rozpęta się burza. Wejźmy do środka i mów, o co ci chodzi.

Jak na zawołanie zaczął padać deszcz. Raine mocniej zacisnęła dłoń na uździe Tickle.

- Kincaid, może to ty mi powiesz, o co ci chodzi. Mnie też się spieszy do domu. Wolę jednak zostać tutaj na deszczu, jeśli ci to nie przeszkadza.

- Przeszkadza, i to bardzo. Pogadamy w środku. - I nie dając jej czasu do namysłu, chwycił ją za ramię i pociągnął ku schodkom.

- Wykorzystujesz przewagę fizyczną. No tak, to przecież w twoim stylu.

- To prawda. Cóż, życie jest ciężkie - skwitował Lucien i pchnął dziewczynę na schodki. - Uważaj na ostatni stopień, jest obluźowany.

Raine nie oponowała dłużej. Kiedy znaleźli się w środku, Lucien skrzyżował ramiona na piersi i spytał rzeczowym tonem:

- Czego ode mnie chcesz? Po co mnie wzywałaś?

W przyćmionym świetle widział ledwie zarys twarzy Raine, ale nie mógł się oprzeć wrażeniu, że dziewczyna jest dziwnie zmieszana.

- O czym ty mówisz? - wydusiła w końcu.

- Mówię o liście, który mi przysłałaś. Kazałaś mi stawić się tu dzisiaj o piątej.

Pokręciła głową. Jej czarny warkocz uderzył o biodra.

- To ty przysłałaś mi list!

By udowodnić Raine kłamstwo, Lucien czym prędzej sięgnął do kieszeni koszuli. Potem obszukał kieszenie spodni. Z irytacją przypomniał sobie, że w gniewie wyrzucił list.

- Ach, racja. Wyrzuciłem go - powiedział ze złością.
- Tak, oczywiście.
- Nie wierzysz mi? - Jej kocie oczy potwierdziły jego obawy. - A więc co my tu robimy? - spytał.
- Przysłałeś mi list.

Teraz ona sięgnęła do kieszeni. Kiedy wyciągnęła dłoń, widniała w niej starannie złożona kartka papieru. Na szczęście potężny grzmot zagłuszył ordynarne przekleństwo Luciena. Kiedy przebrzmiał odgłos pioruna i nastała cisza, Raine zaczęła czytać]

*Featherstone! Rusz swoją nadobną pupę i przyjedź do chatki. Wiesz, do tej, w której kilka lat temu nieźle się bawiliśmy.*

Raine przerwała czytanie i rzuciła Lucienowi krótkie spojrzenie. Z niewyjaśnionych powodów zielone oczy dużo lepiej potrafiły ciskać błyskawice niż jakikolwiek inny, znany Lucienowi kolor tęczówek. Zresztą, nie obwiniął Raine. Sam był wściekły.

- Ja tego nie napisałem. - Starał się, by jego stwierdzenie zabrzmiało zarazem przekonująco i spokojnie.

- To dziwne. Bo to dokładnie w twoim stylu. Tylko ty masz taki talent, jeśli chodzi o wyrażanie myśli, Kincaid. Twoja kobieta będzie wielką szczęściarą. Dżentelmen w każdym calu.

Lucien przełknął obelgę, po czym powtórzył z uporem:

- Ja nie wysłałem tego listu, i basta!
- Oczywiście. Nikt nie śmiałyby ci tego zarzucać. Zwłaszcza końcówka w ogóle nie brzmi jakby wyjęta z twych ust: *Jeśli nie przyjedziesz, postaram się, by twoje życie zamieniło się w piekło!* Takie pogroźki to zupełnie nie w twoim stylu.

- Ja tego nie napisałem - wysapał Lucien naprawdę groźnie.

- Szkoda, że nie znam nikogo, kto zwracałby się do mnie per „Featherstone” takim tonem!

- Listy nie mają tonu, Featherstone!

- Cóż, ja go wyczuwam. Jasno i wyraźnie. Jest obelżywy. Nikt inny nie ważyłby się wzywać mnie tu w tak obraźliwie władczy sposób, nie mówiąc już o tym prymitywnym nawiązaniu do wydarzeń z przeszłości. - Mimowolnie wzrok dziewczyny pomknął na moment w stronę stojącego w rogu izby łóżka. Kiedy ponownie spojrzała na Luciena, jej zaróżowione policzki zdradzały pewne zakłopotanie. Ale ponieważ nie należała do osób, które łatwo dają się ponieść emocjom albo ulegają zmieszaniu, z właściwą sobie determinacją ciągnęła dalej: - Jesteś specjalistą, jeśli chodzi o zamienianie mojego życia w piekło, a ponadto na dole kartki widnieje twoje charakterystyczne, wielkie i zamaszyste „L”. Nie mam najmniejszych wątpliwości, kto jest autorem tego upokarzającego listu!

Lucien wyrwał jej kartkę z ręki. Ponieważ w chatce było niemal całkiem ciemno, w dwóch skokach pokonał odległość dzielącą go od drzwi. W słabym świetle z wolna zapadającego zmierzchu zaczął czytać. Niestety, list potwierdził tylko to, co powiedziała Raine. I ten podpis! To było jego pismo i... jego słowa!

- Ktoś nas wrabia!

Okrzyk Luciena utonął w przeraźliwym odgłosie grzmotu. Mężczyzna poczuł, jak ciarki przebiegły mu po plecach. Jednocześnie oślepił go piorun, który zdawało się uderzył tuż nad jego głową. Lucien usłyszał za sobą jakiś hałas - widocznie przerażona Raine upadła na kolana. Wszystkim tym dźwiękom towarzyszyły przeraźliwe rzenie zwierząt i tętent kopyt. Najwyraźniej Poke'owi w ucieczce towarzyszyła Tickle.

- Tickle! Stój! Nie! - krzyknęła rozdzierająco Raine. Błyskawicznie odsunęła stojącego na drodze do drzwi Luciena i wy-

padła z chaty. Kiedy postawiła stopę na pierwszym schodku, ten z trzaskiem pękł. Raine zachwiała się niebezpiecznie, machając bezradnie rękoma. Lucien zareagował automatycznie. Rzucił się za dziewczyną i chwycił ją w talii. Oboje zwalili się w błoto. Najbardziej ucierpiało na tym ramię Luciena, przygniecione podwójnym ciężarem.

Natychmiast poczuł przeszywający ból. Zaklął ordynarnie pod nosem. W tej samej chwili, jakby za sprawą czarów, niebiosy otworzyły się i wylały na ziemię setki litrów lodowatej wody. Raine osłaniała swym ciałem Luciena przed chłostą deszczowego prysznica, podczas gdy on, niby umięśniona poducha, chronił dziewczynę przed kontaktem z lepka mazią.

Jednak Raine najwyraźniej nie odpowiadała ta skomplikowana pozycja. Dźgnęła swego wybawcę boleśnie w brzuch, wyrwała się z jego objęć i skoczyła na równe nogi.

- Nie klnij, Kincaid! - zawołała.

Wystarczyło parę sekund, by przemokli do suchej nitki.

- Nie kłałem - jęknął Lucien i ostrożnie dotknął obolałego ramienia. Stwierdził z ulgą, że na szczęście to nie złamanie, tylko bolesne zwichnięcie. Próbując przekrzyczeć huk grzmotów, zawołał: - Wejź do środka! Tu jest niebezpiecznie! Ostatni piorun uderzył bardzo blisko!

- Jesteś ranny - krzyknęła w odpowiedzi Raine i uklękła koło niego. Kałuża, w której leżał, szybko zmieniała się w spore bajoro. - To złamanie?

- Nie, nie. Nic mi nie jest. - Spróbował wstać. Był potężnym mężczyzną i na tym polegał jego problem - w porównaniu z przeciętnym śmiertelnikiem, miał więcej ciała, które mogło go boleć. Tak było i teraz. Ku jego zdziwieniu, Raine podparła go swoim ramieniem. - Dzięki - mruknął, schylając się niezgrabnie po stetsona.

- Nie ma za co. Nawet najgorszego wroga nie zostawiłabym

tu samego. - Zerknęła na niego i z rozbawieniem w głosie dodała: - Jak się tak nad tym zastanowić, to właśnie ty jesteś moim najgorszym wrogiem.

- Zawsze wiedziałem, że idealna z nas para. Tylko nie zdawałem sobie sprawy w jakiej materii.

- Teraz wiesz. W złej materii.

Wspólnymi siłami jakoś udało im się wspiąć po schodkach i wejść do chatki. Już po sekundzie w miejscu, gdzie stanęli, rozlała się kałuża. Lucien zarzucił stetsona na hak koło drzwi.

Raine zrobiła to samo.

- Chyba nie zanosি się na to, że wyjedziemy stąd prędko?

- Nie bez koni - przyznał Lucien. - I nie podczas tej szalonej burzy, która chyba uparła się, by się zemścić na całym Teksasie!

Raine rzuciła ostatnie tęskne spojrzenie na dwór i zniknęła drzwi.

- Szkoda, że nie wzięłam ze sobą Psa. Mogłabym posłać go w ślad za końmi.

Lucien prychnął.

- Nawet gdyby je znalazł, zagoniłby je do domu. Spójrz prawdzie w oczy, Featherstone. Z Psem czy bez Psa, jesteśmy tu uziemieni.

Sądząc po wyrazie twarzy Raine, jej stan w obecnej chwili daleki był od zachwytu. Miała dokładnie taką samą minę jak w dzieciństwie, gdy musiała połknąć jakiś babciny Specyfik przeciw grypie. To przekonało Luciena, jak wysoko na liście przyjemności preferowanych przez Raine znajduje się przebywanie w jego towarzystwie.

- I co teraz? - spytała słabo.

- Po pierwsze, rozpalimy ogień - Lucien wskazał na piecyk - i spróbujemy się wysuszyć.

- O, to będzie ciekawe doświadczenie - odparła Raine, przyglądając się spod oka piecykowi. - Ile on ma lat?

- Sporo, ale nie aż tyle, by odmówić nam odrobiny ciepła. Jak stary pies.

Raine omal się nie uśmiechnęła.

- To brzmi zachęcająco. - Podążyła za jego spojrzeniem. - Przede wszystkim musimy zająć się twoją ręką. Nie podoba mi się ta opuchlizna.

Posadziła Luciena na niskim stołku i zaczęła rozglądać się po chatce. Energicznie zdjęła z półki poszewkę na poduszkę i wyjąwszy zza cholewki buta nóż, zaczęła ciąć ją na długie pasy. Gdy skończyła, wprawnym ruchem wsunęła nóż na swoje miejsce i z prowizorycznym bandażem w dłoni zbliżyła się do pacjenta.

- Rozcapierz palce i daj znać, jeśli owinę zbyt ciasno - poinstruowała go i z niezwykłą zręcznością zaczęła bandażować dłoń i ramię. - Jeszcze ci nie podziękowałam za ratunek. Dzięki.

- Nie ma za co.

- Owszem, jest. Gdyby nie ty, byłby to upadek stulecia.

- No cóż, choć raz chciałem zostać bohaterem. Jak widać, nie bardzo mi to wyszło.

- Brak wprawy, to wszystko. - Raine rozdarła końcówkę bandaża na połowę i zwinnie zawiązała węzeł. - Coś jeszcze cię boli?

Nie zamierzał odpowiadać na to pytanie. Prawdę mówiąc, cały był obolały. Ale najbardziej dawała mu się we znaki fizyczna bliskość Raine. Czuł jej delikatny dotyk i ten specyficzny, słodko-gorzki zapach. Słyszał jej ciepły, magiczny głos. Jedyne, czego teraz pragnął, to władczo przycisnąć ją do siebie i pociągnąć w stronę łóżka, które dzielili pewnej upojonej nocy, kilkanaście lat temu. Nie wiedział, skąd takie niebezpieczne

myśli przychodzą mu do głowy. Czuł, że to musi mieć jakiś związek z dość nietypowymi okolicznościami, w jakich się znaleźli - sami na końcu świata, w środku rozszalałych żywiołów, w sercu walki między niebem a ziemią.

Jak z oddali dobiegło go pytanie Raine:

- Boli?

Siląc się na nonszalancję, wzruszył ramionami.

- Przeżyję.

- To może dokończymy teraz naszą rozmowę. Jak to się stało, że się tu znaleźliśmy?

- Ten problem musi poczekać, Raine. Zaczynasz sinieć. Musimy rozpalic w piecu, zanim całkiem skostniejesz.

- W porządku.

To, co między innymi podziwiał w Raine, to jej gotowość do działania. Teraz również dzielnie dotrzymywała mu kroku. Nie oglądając się na błyskawice i gromy, wyciągała spod okapu chatki szczapy drewna i rzucała je Lucienowi. Ten łapał polana sprawną ręką i układał pod piecykiem. W niespełna kilka minut mieli już wystarczający zapas opału.

Po chwili w piecyku płonął ogień, a dwie lampy naftowe ciepłym płomieniem oświetlały chatę. Raine rozciągnęła wzdłuż pokoju sznur i rozwiesiła na nim prześcieradło, tworząc w ten sposób przepierzenie.

- Ta strona jest twoja - wskazała część izby bliższą drzwi.

- Masz całkowity zakaz wchodzenia na moją. Może jakoś uda nam się przeżyć tę noc.

Lucien spojrział na nią spod oka.

- Przeżyjemy, tak czy siak.

Natychmiast się najeżyła. Ostatecznie mógł się tego spodziewać. Czekał na taką reakcję.

- Jakie „tak czy siak”? Co masz na myśli? Zresztą, nic mnie to nie interesuje. Jeśli chcesz dotrzeć do jutra bez szwanku,

lepiej nie ruszaj się ze swojej polowy - ostrzegła i wysoko unosząc brodę, znikła za przepierzeniem.

Lucien wyszczerzył zęby.

- A może ja wcale nie chcę obudzić się bez szwanku - mruknął dość głośno.

- Wierz mi, na pewno chcesz - dobiegło go ciche burknięcie zza prześcieradła.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Usłyszał głucho uderzenie buta o podłogę. Po dłuższej chwili walki i sapań, drugi but wylądował w kącie. Zadźwięczała sprzączka od paska rzuconego na podłogę.

Lucien wiedział, że sam też powinien zdjąć zaskorupiałe od błota okrycie, ale poczuł nagle, że nie ma na to sił. Poza tym zbyt fascynowało go to, co działo się za zasłoną. Usłyszał zgrzyt zamka od dzinsów i spodnie wylądowały na sznurze. Zaczął się zastanawiać, czy Raine nosi, jak dawniej, prostą bawełnianą bieliznę. Pokręcił głową. Nagle jego wyobraźnią zawładnął obraz pięknej Raine skąpo odzianej w czerwień jedwabiu. Czerwony stanik i majteczki pięknie kontrastowałyby z opaloną skórą. Ciekawe, czy nogi tej złośnicy nadal są takie szczupłe i zgrabne. Tak, na pewno. Lucien jęknął i potrząsając głową, usiłował czym prędzej usunąć sprzed oczu ten obraz. Bez skutku! Im bardziej się starał, tym bardziej fascynujące i jaśniejsze wizje podsuwała mu jego złośliwa wyobraźnia - oto stanik zsuwa się z pełnej piersi Raine, a majteczki... Wyrwało mu się siarczyste przekleństwo.

- Czyżbyś znowu kłął, Kincaid? - otrzeźwił go chłodny głos Raine.

- To możliwe - przyznał po chwili.

- Czy boli cię ramię? - Na sznurku pojawiła się koszula Raine.

Kurka wodna! To znaczy, że ona stoi tam teraz w takim

stanie, jak odmalowała to skrupulatnie jego wyobraźnia! Lucien jęknął w duchu.

- Lucien? Jesteś tam? - przywołał go nagle do porządku głos Raine. - Podstawiłam wiadro pod przeciekający dach. Tam, w kącie. Może zanurz rękę w wodzie, to będzie cię mniej bolało? - zasugerowała.

- Aha - mruknął Lucien. Lodowata woda pewnie by mu się przydała, ale nie na rękę, tylko na głowę. Może gdyby tak postać pod lodowatym prysznicem, odzyskałby rozsądek. Nie! Tylko nie rozsądek! Jakiś wiek albo dwa, i wszystko powinno wrócić do normy.

- Lucien? - Zza zasłony wychynęła głowa Raine. - Ty wciąż tkwisz w mokrych ciuchach? Chyba zawodzi cię twój instynkt samozachowawczy.

Minęło parę sekund, nim Lucienowi przyszedł do głowy świetny pretekst. Uniósł zabandażowaną rękę.

- Nie mogę jedną ręką zdjąć butów.

- Trzeba było mówić od razu - usłyszał ostre słowa reprimendy.

Głowa Raine znikła za przepierzeniem, po czym dziewczyna wyłoniła się owinięta od stóp do głów w prześcieradło, niczym w sarong. Ani śladu czerwieni! Nie wiedzieć czemu, Lucien wstał.

- Czemu stoisz? Siadaj, to ci pomogę.

Już miał zapytać, czy pomoże mu też ściągnąć dzinsy, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Z pewnością w ciągu sekundy pławiłby się w błocie przed chatką, zastanawiając się, co za siła wyrzuciła go z takim impetem za drzwi.

Usiadł, ociągając się, a Raine przykłęka obok. Zręcznym, mocnym ruchem ściągnęła prawy but, potem lewy, i zabierając je wraz ze swoimi ubłoconymi traperkami, ustawiła w rzędzie pod drzwiami. Jego czterdziestki siódemki nieco przyćmiły jej

trzydziestki ósemki. Raine patrzyła przez moment na straszące swym widokiem obuwie i z uśmiechem powiedziała:

- Nieźle masz stopki.
- To ty masz nieźle stopki - odparł.

Spojrzała na niego.

- Wyskakuj z tych ciuchów, Kincaid, pókiś zdrów. - Odwróciła się na pięcie i znikła za zasłoną.

Jak zwykle, była całkowicie opanowana. Poruszała się powoli, z gracją. Jakże go to wkurzało - oto on aż kipi jak nieopierzony nastolatek od miotających nim emocji, a ona, ni-by posagowa bogini, zdaje się nawet nie dostrzegać jego obecności. Gdyby był trochę mniej skomplikowanym, bardziej bezpośrednim mężczyzną, zmazałby ten opanowany wyraz z jej twarzy, i to bardzo szybko. Zerwałby tę śmieszna zasłonę i wyładowała z chłodną boginką na łóżku. Ani by się obejrzała, a udzieliłby się jej jego zapach. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej pociągający i łatwiejszy do realizacji wydawał mu się ten pomysł. Chociaż...

Cóż. Wstał, burcząc coś pod nosem, i zaczął rozpinać dzin-sową koszulę. Podeszedł do sznurka i już miał ją zarzucić nad piecykiem, gdy zauważył, że wystarczy odwrócić głowę nieco w prawo, a całą Raine ma przed oczami jak na dłoni. Siedziała po turecku na łóżku i usiłowała rozczesać palcami mokre włosy, zasłaniające ją niczym czarna, gruba zasłona przed jego wzrokiem.

Lucien chrząknął nerwowo.

- Może usiądziesz przy piecyku. W ten sposób nigdy ich nie wysuszysz.

Raine poderwała głowę, jak zwierzątko zaskoczone przez myśliwego. W jej spojrzeniu Lucien zobaczył coś, co chwyciło go za gardło. W tej chwili nie patrzyły na niego oczy opanowanej, pewnej siebie kobiety, lecz młodej dziewczyny, której nie-

obce są emocje i pragnienia. Ta pozornie niewinna propozycja nieprawdopodobnie ją zmieszała. Lucien poczuł, że jeszcze bardziej jej pragnie.

W tym momencie poprzysiągł sobie, że choćby miał porużyć niebo i ziemię, nie podda się. Zdobędzie Raine Featherstone. Powtórnie.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Nie siedź tak! - powiedziała sobie w duchu Raine. - Zrób coś, powiedz coś, żeby rozładować napięcie. Gdzieś niedaleko huknął grzmot i Raine podskoczyła na materacu, z trudem odrywając oczy od szerokiej klatki piersiowej Luciena.

- Miałeś zakaz wchodzenia na moją połowę. - Brawo, Featherstone! Tak trzymaj! Zważywszy, że Lucien nigdzie nie wchodzi, niewątpliwie zdobyłeś przewagę.

Sądząc po sardonicznym uśmiechu, który na moment zagościł na jego twarzy, Lucien z łatwością wychwycił słabość tego argumentu. W tym uśmiechu kryło się zresztą coś więcej. Esencja męskiego uroku. Nic dziwnego, że ten facet nigdy nie mógł opędzić się od kobiet - dosłownie.

- Czy usłyszysz jeszcze: „Nie patrz tak na mnie, ty plugawy, niemoralny i podły draniu”?

- Trafiłeś w dziesiątkę. Co za samokrytycyzm - odparła chłodno Raine i wróciła do przerwanej czynności rozczesywania włosów palcami. Próbowała skupić się na tym bez reszty.

- Może raczysz wrócić na swoją stronę?

- Chyba nie zauważyłaś moja panno, że wciąż stoję na swoim terytorium - przypomniał jej.

Być może technicznie tak było. Jednak zważywszy tę niepospolitą szerokość ramion, która bezlitośnie tkwiła nad skromnym przepierzeniem, atakując wszystkie myśli Raine, z pewnością była to beczelna inwazja na jej przestrzeń życiową i wolność osobistą.

- Być może, ale niecie nie wykorzystujesz swój wzrost.
- Niecie? A kto się troszczy, byś porządnie wyschła?
- To nie twój problem. Martw się raczej o to, żeby dotrzymać umowy.

Lucien najwyraźniej powoli tracił cierpliwość.

- Raine, na miłość boską! Przestań zachowywać się jak dziewczyna z dwunastego wieku, zakuta w pas cnoty! Rusz swoją piękną pupę i marsz pod piec.

Raine zawsze wiedziała, kiedy zaprzestać dyskusji. Niechętnie podniosła swoją, rzeczywiście zgrabną pupę i szczerze owinięta prześcieradłem przycupnęła na skraju materaca, bliżej piecyka.

- Ponieważ ty sam pozbawiłeś mnie wyżej wzmiankowanego dziewictwa, mógłbyś oszczędzić mi obelg - burknęła po chwili milczenia. - Zresztą mam prawo być wściekła.

Lucien zmarszczył brwi.

- Wściekła? Z jakiego powodu? Sama bardzo łaknęłaś mojej obecności, w twoim dziewiczym łóżu. Twój zapał dorównywał mojemu.

- A więc spełniłeś moje życzenie? - Raine dumnie uniosła brodę. Nigdy w życiu nie pokaże mu, jak bardzo ubodła ją ta uwaga. - Cóż za bohaterstwo. Prawdziwy książę. Szkoda tylko, że przy tym gaduła.

Lucien spojrzał na nią spode łba.

- Wytłumacz się! O czym ty mówisz?

Tym razem jego głos zabrzmiał naprawdę groźnie. Z twarzy znikł poprzedni urok, a pojawił się prawdziwy gniew. Wściekłość. Lucien potrafił wyglądać przerażająco. Nigdy jeszcze nie spotkała mężczyzny, który tak bardzo przypominałby jej ogiera. W gniewie, i nie tylko.

Raine zamarła na chwilę, po czym powiedziała coś łagodnie i kojąco. Lucien instynktownie zareagował na ten uspokajający ton, rozluźnił się.

- Przestań, Raine. Ja nie jestem jednym z twoich oswojonych zwierząt. Nie możesz mnie usidlić i robić ze mną, co zechcesz - ostrzegł ją, wciąż jeszcze zaciskając pięści.

Raine w duchu przyznała mu rację.

- To odruch - wyjaśniła.

- Jaki odruch?

- Instynkt samoobronny. - Widząc marsową minę Luciena, dodała: - Uruchamiam go, kiedy czuję się zagrożona.

Lucien wyglądał na nieprzyjemnie zaskoczonego.

- Myślisz, że mógłbym cię skrzywdzić?

- Fizycznie? Nie. Ale mógłbyś mi zadać inny ból. Już kiedyś to zrobiłeś i z pewnością nie zapomnę tej lekcji.

Lucien odparł z równą szczerością.

- Masz na myśli sporną ziemię? Musisz to wreszcie przeboleć, Raine, trudno. Ta ziemia należy do Kincaidów.

- Wręcz przeciwnie. Należy do Featherstonów! Mój dziadek pół życia walczył o jej odzyskanie, kiedy skorumpowani politycy mu ją odebrali. Potem oddał za nią życie. I ja nie spocznę, póki jej nie odzyskam! - zaciętrzewiła się Raine.

Oczy Luciena pociemniały, jakby ta rozmowa sprawiała mu fizyczny ból.

- Nie zamierzam się z tobą kłócić, Raine - powiedział cicho. - Uzgodniłiśmy wszystko z Nanną i będę się trzymał tej umowy. Koniec z walkami.

- Oczywiście, że dogadałeś się z Nanną. Znając cię, zastanawiam się, jakich użyłeś sposobów. A tak z ciekawości, czym ją postraszyłeś? Procesem i skorumpowanymi prawnikami? Wiesz dobrze, że nie byłoby jej stać na sprawę sądową.

Lucien zacisnął zęby. Odpowiedział dopiero, gdy odzyskał samokontrolę.

- Nie musiałem używać żadnych sposobów. Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj Nanny.

Oczywiście, że już pytała. Jednak Nanna powiedziała tylko, że sporna ziemia należy do Luciena i że nie będzie o tym więcej rozmawiać.

Raine zdała sobie sprawę, że właściwie o czymkolwiek rozmawiali, natychmiast ujawniały się odwieczne konflikty i wzajemne żale. Każdy poruszony temat był tematem tabu - sporna ziemia, śmierć dziadka Papsa, ich osobiste stosunki. I tak bez końca.

Ten mężczyzna odebrał jej wszystko, co miała w życiu najcenniejszego - najpierw pierwszą miłość, serce, reputację, potem ziemię. A na koniec ukochanego dziadka. Kiedy Lucien odszedł z jej życia - jakże po tym wszystkim mógł w nim pozostać? - Raine czuła się tak, jakby umarła. Bezpowrotnie utraciła jakąś część samej siebie. W dodatku tę najważniejszą - odpowiedzialną za radość i miłość.

Zacisnęła pięści. O nie, nie zamierza się poddać. Lucien nie zabierze jej. wszystkiego!

- Jesteś łajdakiem! Wykorzystałeś starą kobietę. Twój dziadek ofiarował Nannie tę ziemię, kiedy zmarł Paps, Ona ma list, który jest na to dowodem. Poczekaj tylko, aż go znajdę! Jeszcze staniesz przed sądem!

- Ten list nie istnieje.

- Wszyscy wiedzą, że Buck Kincaid ofiarował ziemię Nannie. Tylko twoja babcia uważała, że to nieprawda. - Raine szczerzej otuliła się prześcieradłem i skrzyżowała ramiona na piersi. Poczuła, jak ogarnia ją jakiś wewnętrzny chłód. Może z powodu tej rozmowy, a może z powodu wilgotnej bielizny, która nieprzyjemnie przyklejała się do ciała. - Oczywiście, poczekała cierpliwie, aż twój dziadek umrze, żeby wygłosić swoją opinię na ten temat i podważyć jego decyzję.

Lucien zaklął pod nosem. Dał nura pod przepierzenie i chwycił Raine za rękę, pociągnął ją za sobą na drugą stronę.

Przysunął stołek i nie zważając na szarpaninę dziewczyny, posadził ją niemal siłą.

- Siadaj i przestań wygadywać głupoty!

- Nie będziesz mi rozkazywał, Kincaid! - zawołała Raine hardo, wrywając rękę.

- Trzęsiesz się z zimna, kobieto! Kto będzie pracował na ranczu, jeśli się rozchorujesz? Nanna?

- A ciebie co to obchodzi? - zapytała, lecz w duchu przyznała, że Lucien ma rację. Niech to licho! Trafił w dziesiątkę. Nie opuszczając dumnie uniesionego podbródka, przysunęła stołek do pieca i pochyliła się w stronę źródła kojącego ciepła. Na powrót zaczęła rozczesywać palcami kaskadę wilgotnych włosów. Kiedy odzyskała równowagę, zerknęła na Luciena.

- A ty nie ściągasz spodni? Są aż sztywne od błota.

- Jak pani sobie życzy - odparł. Szybkim ruchem odpiął pasek i zaczął zsuwać przemoczone spodnie.

Na szczęście Raine miała swoją kurtynę z włosów, za którą mogła się schować. Ukradkiem zerkała raz po raz na smukłe, doskonale proporcjonalne ciało Luciena. Nie mogła oderwać od niego wzroku! Coś ścisnęło ją w dołku. Działała na nią jakaś prymitywna, pierwotna siła. Zrobiło jej się gorąco. Nie mogła w to uwierzyć! Co się z nią dzieje? Po tym wszystkim, co on jej zrobił, tak oto reaguje na swego najgorszego wroga?

Spróbowała podejść do sprawy racjonalnie. Ostatecznie ma pełne prawo do takiej prostej, biologicznej reakcji. Jest tylko człowiekiem. Zresztą, ciało Luciena się zmieniło. Dlatego z taką ciekawością mu się przygląda. To zupełnie zrozumiałe. Wydo- roślał, choć jednocześnie stał się smuklejszy. Jego wysoka, potężna sylwetka nabrała doskonałych proporcji, stała się idealnie symetryczna. Mocne nogi, umięśnione ramiona, szerokie plecy, wąskie biodra. Jego ciało mówiło o trybie życia, jaki prowadził, o codziennej fizycznej pracy, którą wykonywał. Biła od niego

czysto fizyczna siła. Ten mężczyzna mógł przesuwac góry. Dosłownie i w przenośni.

Odwrocił się lekko i nagle dostrzegła ogromną szramę przecinającą jego bok i plecy, z dużym wgłębieniem pośrodku. Zesztywniała. Siląc się na obojętność, spytała od niechcienia:

- Gdzie zdobyłeś to trofeum? - wskazała na bliznę.

- To? Nic takiego. Czasem człowiek zwycięża byka, a czasem byk człowieka - odparł sucho i owinał biodra prześcieradłem.

- Nieraz widziałam ranę od rogów byka. Ta wygląda nieco inaczej - odparła Raine spokojnie.

Lucien odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy.

- Jak na osobę obojętną, dość dokładnie mi się przyglądasz. Jeszcze chwila, a pomyślę, że ci się podobam i że się mną interesujesz - mruknął z szelmowskim uśmiechem.

- Podoba mi się twoje ciało, nie przeczę - odparła dzielnie.

- Ale zainteresowanie dawno wygasło.

Lucien zaczął zarzucać części swojej mokrej garderoby na sznurek.

- Twoja głowa się mną nie interesuje, zgoda. Ale twoje ciało jest zupełnie innego zdania.

Jak on to robił? Jakby czytał w niej jak w otwartej książce. Chrząknęła.

- A ty skąd to możesz wiedzieć? - Niestety, jej głos zabrzmiał słabiej, niż by sobie tego życzyła.

Lucien podszedł do niej wolnym krokiem. Usiłowała skoncentrować się całkowicie na przeczesywaniu wciąż wilgotnych włosów. Lucien delikatnie musnął dłonią jej szyję.

- Bo serce ci wali jak szalone.

Z trudem przełknęła ślinę. Spokój! Tylko spokój może ją uratować.

- O, tak, ono ma tę właściwość - wyjaśniła. - Wystarczy, że zrobię najmniejszy ruch. A nawet bez niczego, tak sobie bije.

- To bardzo miłe - mruknął Lucien, nie opuszczając dłoni. Powiódł nią w dół po prześcieradle, w które dziewczyna była owinięta. - A twoje mięśnie są tak napięte, jakbyś szykowała się do biegu.

No tak. Wreszcie musiała się przed sobą przyznać. Już bezpieczniejszy był ten huragan na zewnątrz niż przebywanie tu, sam na sam z Lucieniem Kincaidem.

- Jest ku temu powód.

- Tak? - zapytał Lucien z niekłamany zaciekawieniem.

Raine spojrzała na niego odważnie i odparła z nagłą szczerością:

- Stanowisz dla mnie zagrożenie.

Lucien uśmiechnął się.

- Nie większe niż ty dla mnie.

Zrzuciła jego dłoń.

- Na to istnieje tylko jedna rada. Trzymajmy się od siebie z daleka, a nic nam się nie stanie.

- Tak, ale jest pewien drobny problem. Musimy podzielić się jednym piecykiem.

Raine na próżno usiłowała ukryć rozbawienie. Zaśmiała się dźwięcznie.

- No dobrze, Kincaid. Może, jeśli się postaramy, uda nam się utrzymać dystans na jednym metrze kwadratowym i prowadzić jednocześnie cywilizowaną konwersację.

- Myślisz? Chodzi mi o utrzymanie dystansu. Bo co do konwersacji, to zależy od tego, jak długo potrwa burza. - Lucien przysunął drugi stołek do piecyka i usiadł.

Raine postanowiła nie rozwijać wątku fizycznej bliskości z Lucieniem. Powiedziała zatem:

- Musimy tylko wybrać odpowiedni temat. Ciekawy, lecz nie drażliwy. A to może okazać się trudne.

- Obawiam się, że rozmowa o pracy odpada?

- Tylko nie to! - zaprotestowała Raine.

- A pogoda? W normalnych warunkach to całkiem bezpieczny temat.

Jak na zawołanie rytmiczne dotąd uderzenia deszczu o blaszany dach wzmogły się, zagłuszając niemal słowa Luciena. Do tego wichura najwyraźniej przybrała na sile, bo narastającemu odgłosowi ulewy zawtórowały gwałtowniejsze uderzenia gałęzi wiązu. Raine z niepokojem spozjrzała na strop, modląc się, by okazał się mocniejszy, niż na to wyglądał.

Lucien najwyraźniej odgadł jej lęk, bo powiedział:

- Nie martw się. Ta chata wytrzymała niejedną burzę i jeszcze wiele zniesie.

- Tak czy siak, to chyba nie najlepszy temat na pogawędkę. Szczególnie że to twój kaprys wpakował nas w tę kabałę.

- Kaprys?

- Liścik.

- Ach, tak. No to znalazł się ciekawy temat do przedyskutowania.

- To nie zajmie nam dużo czasu. Chyba że zamierzasz polemizować z oczywistymi faktami.

Lucien niecierpliwie tupnął nogą.

- Powtarzam po raz ostatni. Ja tego listu nie wysłałem! Nie napisałem do ciebie ani jednego zdania, ani nawet pojedynczego słowa!

- Znam twój charakter pisma, Lucien. Nieraz do mnie pisywałeś, kiedy przejąłeś naszą ziemię. - Dobrze, że udało jej się pominąć milczeniem całą korespondencję miłosną, którą dostawała niegdyś od Luciena. - Z odległości kilku metrów rozpoznałabym twoje bazgroły.

Lucien pochylił się do przodu, wspierając się rękoma o kolana. Skrzywił się przy tym lekko, bo bolące ramię dało o sobie znać. Zignorował to jednak. Raine zastanowiła się, czy on

w ogóle posiada zdolność odczuwania bólu. Zawsze potrafił radzić sobie z cierpieniem. Podziwiała go za to, choć jednocześnie nie pojmowała, jak on to robił. I czy wspomnienia o ich dawnym związku także zepchnął w najgłębsze zakamarki pamięci, w podświadomość, jak zapieczętowaną, pogrzebaną gdzieś na strychu paczkę o niebezpiecznej zawartości? A może ona sądzi po sobie? Może dla niego taka paczka wcale nie istnieje? Nie ma żadnych bolesnych wspomnień, z którymi nie sposób się uporać?

- Widziałem ten list i rozumiem, o czym mówisz - niespodzianie zgodził się Lucien. - To rzeczywiście moje pismo. Podobnie jak list, który ja dostałem, był napisany twoim charakterem pisma.

Nagle Raine zdała sobie sprawę, że Lucien mówi prawdę. Przyjrzała mu się badawczo.

- Co było w twoim liście?
- Dość, żebym zrobił, jak kazałaś.

A zatem albo list go zdenerwował, albo zaciekał. Sądząc jednak po gniewie, od jakiego aż kipiał, kiedy wyszedł jej na spotkanie, powinna postawić na pierwsze przypuszczenie. No cóż, może jakoś uda się jej wyjść z tej kolizji bez szwanku. Choć to nie będzie łatwe zadanie. Rozgniewany Lucien to nie lada przeciwnik. Coś już o tym wiedziała.

- Ton listu był zapewne podobny?
- Zgadza się. - Lucien zmarszczył brwi i zaczął zastanawiać się na głos. - Jak sądzisz, komu z naszych znajomych mogło zależeć, żebyśmy utknęli w tej pułapce razem, podczas kiedy na świecie szaleją żywioły? Jakie korzyści mogą z tego płynąć, i dla kogo? Nie ma co. - Pokręcił głową. - Ten ktoś lubi posuwać się do ostateczności.

Raine zamrugała. Nagle przysłała jej do głowy szalona myśl. Klub Samotnych Serc! A niech to! Czyżby po Tess i Emmie

przyszła kolej na nią? Nie! To wykluczone! Przecież jasno powiedziała, że sobie tego nie życzy.

- Raine? Masz jakiś pomysł? - Gwałtowna reakcja dziewczyny nie uszła uwagi Luciena.

O, nie. Nie ma mowy. Choćby ją nawet torturował, nie przyzna się, co jej przyszło na myśl! Może miałyby mu powiedzieć: „Wiesz, jest taki klub współczesnych swatów, Klub Samotnych Serc. Zajmuje się kojarzeniem par. I to jak skutecznie! Oni nigdy się nie mylą. Wyswatali Tess i Emmę. I wiesz? My jesteśmy następnymi na liście”.

To niedorzeczne. Poza tym, skąd wytrzasnęliby pomysł wyswatania jej akurat z Lucieniem Kincaidem? Absurd. Przecież ich łączą tylko tragedie i kłopoty. Od lat są zagorzałymi wrogami. Złe sobie życzą. Gdzie tu miejsce na romans? Na miłość? Wolne żarty!

.- Raine? Może wreszcie to z siebie wyrzucisz?

- Nic z tego nie rozumiem. Nie mam pojęcia, o co tu chodzi - skłamała Raine.

- Kłamczucha!

Raine знаła na tyle dobrze Luciena, by wiedzieć, że w końcu wyciągnie z niej prawdę.

- To tylko przypuszczenie. - Zająknęła się. - Nie rozumiiałbyś. To absurd.

- Kto to zrobił? - W głosie Luciena zabrzmiała ledwo hamowana wściekłość.

No tak. Chyba udało jej się wywołać burzę tu, w środku chatki. Poczowała się jak w pułapce między dwoma żywiołami.

Lucien nie spuszczał z niej wzroku. W jego oczach tkwiło nieme pytanie.

- To Klub Samotnych Serc - wydusiła z siebie Raine i wzięła głęboki oddech. A jednak mu powiedziała! I to jak prędko.

Lucien patrzył na nią tak, jakby przemówiła do niego po chińsku.

- Że niby co?

Raine spróbowała schować się za włosami, jednocześnie podciągając prześcieradło pod samą brodę.

- To taka zwariowana organizacja z Seattle. Tess i Emma znają ją lepiej.

- To te twoje przyjaciółki z uniwersytetu?

Skinęła głową.

- Tak. Byłam ostatnio na ich ślubach. To znaczy one obie niedawno wyszły za mąż. Myślę, że mają z tym coś wspólnego. Chociaż...

- Poczekaj. Chciałbym to zrozumieć. Twoje przyjaciółki, najlepsze przyjaciółki zaaranżowały nasze spotkanie, wysyłając do nas listy i podszywając się pod nas? I do tego zaplanowały to akurat na noc, kiedy zmówią się wszystkie żywyły? Żebyśmy tu utknęły w środku burzy? - Lucien recytował w zapamiętaniu. - To najbardziej naciągana historia, jaką w życiu słyszałem.

Raine wystawiła czubek nosa zza kurtyny włosów i próbowała wyjaśnić:

- Tess i Emma osobiście tego nie zrobiły. To pewnie sprawka tego klubu. Gdybyś wiedział, co oni wyczyniali w przypadku Tess i Emmy, zrozumiałbyś, na ile ich stać.

- A celem tego Klubu jest... - Lucien zawiesił głos, sugestywnie mrużąc oczy.

Raine zacisnęła wargi. Nie ma mowy, żeby mu to wyznała. Dowie się po jej trupie! .

- Nie mam pojęcia.

- A o co chodziło w przypadku twoich przyjaciółek?

Raine zerwała się z miejsca i energicznie podeszła do drzwi. Uchyliła je ostrożnie i wyjrzała na dwór.

- Myślisz, że to jeszcze długo potrwa? - spytała niewinnym głosem. - Wiesz, tak mi wpadło do głowy, że moglibyśmy poszukać latarek i spróbować wrócić do domu.

- To by nam zajęło całą dobę. - Jego stołek zatrzeszczał, ostrzegając ją, że Lucien wstał. - A przejście przez rzekę oznacza pokonanie rwącej wody. Nie ma mowy, żeby nam się udało.

- Proponuję spróbować.

- Wykluczone. Zresztą, kiedy Poke wróci beze mnie, moje chłopaki wyruszą na poszukiwania.

Nagły atak wichury uderzył w drzwi i Raine zaczęła z nimi walczyć.

- W taką pogodę? - wydyszała zdumiona.

Lucien wyciągnął rękę ponad dziewczyną, bez trudu zatrzasnął drzwi i zamknął je na zasuwę. Wichura, jakby urażona jego bezczelnością, ze zdwojoną siłą zaczęła atakować chatkę.

- A więc twoi ludzie przybędą nam na ratunek? - spytała Raine z nadzieją w głosie. - Może uda im się tu dotrzeć jeszcze dziś w nocy?

- Skądże. Poczekają do świtu.

Nagle Raine pojęła grozę sytuacji. Nie dość, że spędzi z Lucieniem całą noc na tym odludziu, to jeszcze inni, obcy, dowiedzą się o tym!

- I zastaną nas tu razem - podsumowała w oszołomieniu.

Lucien wzruszył ramionami.

- Jeśli do tego czasu nie pozabijamy się nawzajem, to tak, zastaną nas tu razem.

W wyobraźni Raine ujrzała to, co wkrótce zobaczą inni: oto ona i Lucien, na wpół nadzy, po nocy spędzonej w jednej chacie, w jednym pokoju, co tam - na jednym łóżku, i to przeznaczonym dla jednej osoby. Albo dla dwóch, tylko że splecionych w bardzo czułym uścisku. Oczywiście, wszyscy zaczną spekulować, w jaki sposób skorzystali z tego łóżka. Zacisnęła usta.

Co tam. Już wcześniej słyszała podobne plotki na swój temat i jakoś jej to nie zabiło. Tym razem też przeżyje.

- Spokojnie, kochanie. - Lucien najwyraźniej jak zwykle bezbłędnie odczytał jej ponure myśli. Jego oczy zabłyśły wojowniczo. - Niech tylko ktoś spróbuje to komentować, będzie miał kłopoty z żuchwą.

- Co masz na myśli? - zająknęła się Raine.

- To proste. Niech tylko usłyszę jakieś plotki, a ich autor będzie mógł szukać swoich zębów wszędzie, tylko nie we własnych ustach.

- Wcześniej nie dbałeś tak bardzo o moją reputację - powiedziała Raine oskarżycielsko.

Spojrzał na nią urażony.

- Wręcz przeciwnie - odparł z godnością. - Jak myślisz, od czego mam spłaszczony nos? Od pijackiej bójki w barze?

- Tak właśnie myślałam.

- To częściowo prawda. Tyle że to ty byłaś powodem nieporozumienia. A więc mam tę pamiątkę po tobie.

Raine słyszała coś nieośmieszającego o tej bójce. Ponoć Lucien spędził wtedy resztę nocy w areszcie, pod czujnym okiem szeryfa Tilsona.

- A więc biłeś się z Busterem o mnie?

- To zamierzchłe czasy. Bez większego znaczenia.

- Dla mnie to ma znaczenie.

Lucien podrapał się po głowie.

- Znowu ci się udało zmienić temat. Pewnie to przez ten twój magiczny głos. Kiedy mówisz, zaczynam cię słuchać i zapominam, co chciałem powiedzieć.

- Nie na długo - mruknęła Raine. Niestety, zawsze na koniec sobie przypominał.

- A więc? Co takiego zrobił Tess i Emmie ten Klub?

- A nie mówiłam? - Raine pokręciła głową i próbowała

zyskać na czasie, zawiązując mocniej końce prześcieradła pod biustem. Przy jej szczęściu gotowa jeszcze nadepnąć na prowizoryczną szatę i ukazać się oczom Luciena tak, jak ją Pan Bóg stworzył. Swoją drogą, ciekawe, co by Lucien wtedy zrobił? Dołoży wszelkich starań, żeby się nie dowiedzieć. - Klub Samotnych Serc zajmuje się swataniem - odparła na pozór spokojnie.

- Swataniem? Jak biuro matrymonialne?

- Coś w tym stylu.

Lucien otworzył usta ze zdumienia.

- Na Boga, Raine! Czy ktoś usiłuje nas wyswatać? Kurczę pieczone...

## ROZDZIAŁ TRZECI

Raine zmarszczyła brwi. Dlaczego Lucien wygląda tak, jakby sam pomysł małżeństwa z nią wydawał mu się obrzydliwy?

- Większość akcji Klubu kończy się sukcesem. To znaczy małżeństwem - powiedziała jakby na usprawiedliwienie.

A może wszystkie? Tess chyba wspominała coś o doskonałych wynikach Klubu. Raine nie mogła przypomnieć sobie szczegółów, ale pamiętała doskonale, że jak dotąd wszystkie działania Klubu doprowadzały do ślubu - wyswatali blisko trzysta par! Tak czy siak, próba połączenia jej z Lucieniem to nie najlepszy pomysł i musi spalić na panewce. Cóż, oto Klub zmierza ku swojej pierwszej, ale wielkiej katastrofie!

- Skąd członkom jakiegoś zwariowanego Klubu przyszło do głowy, że my bylibyśmy dobrą parą? - spytał Lucien.

- Nie mam pojęcia. Gdyby spytali mnie o zdanie, wybiłabym im to z głowy - odparła Raine z godnością.

Lucien przez długą jak wieczność chwilę przyglądał się jej badawczo.

- Ty mówisz całkiem poważnie, prawda? O tym Klubie? On naprawdę istnieje? I swata ludzi?

- Powiedzmy, że Tess i Emma mają podstawy, by nie wątpić w jego istnienie.

Lucien z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Coś takiego. I Klub znalazł im mężów?

- Aha.

- Do diabła!

Raine pokiwała ze zrozumieniem głową.

- Wyjąłeś mi to z ust.

Lucien przeczesał palcami prawie już suche włosy.

- Raine, jednego nie rozumiem. Jak to możliwe, że wybrali właśnie nas jako... swoje kolejne ofiary. To znaczy... jako parę. Może ty wiesz?

- Niestety, nic mi nie przychodzi do głowy - skłamała, spuszczać oczy. Nie ma mowy, żeby ujawniła mu jakiegokolwiek dodatkowe szczegóły. Dość już, że powiedziała o istnieniu Klubu. Wyjaśnienie było tylko jedno - ostatnie wydarzenia musiały mieć związek z dawną umową trzech przyjaciółek. Przysięgły sobie kiedyś, że jeśli przed trzydziestką nie uda im się założyć rodziny, pomogą sobie nawzajem znaleźć mężów. Jeśli Raine miała wątpliwości, to jedynie dlatego, że jasno i wyraźnie wyraziła swoją opinię na temat małżeństwa, i to wcale nie tak dawno - na ślubie Emmy. Zastrzegła sobie prawo do swojej samotności. Chyba przyjaciółki nie odważyłyby się działać wbrew jej woli? Ponadto istniał jeszcze jeden argument przeciw nieomylnemu dotąd Klubowi. Jak mogli aż tak się pomylić, by na jej partnera życiowego wybrać Luciena Kincaida? To wprost nie do pojęcia! Może rzeczywiście obecne kłopoty nie są sprawką Klubu?

- O czym myślisz? - Lucien wyrwał ją z zadumy.

Jak on to robił? Raine stwierdziła, że jej sławna, tajemnicza twarz to niestety mit. W każdym razie z Lucieniem z pewnością przegrałaby w pokera.

- Tak tylko się zastanawiam, jak ktokolwiek mógł pomyśleć, że my moglibyśmy zostać parą - powiedziała szczerze. - Wprawdzie łączył nas przelotny romans.

- A dokładniej flirt, taka tam przygoda.

Raine zmroziły nieco te słowa, ale nic nie dała po sobie poznać.

- Właśnie. Flirt, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi.
- Zaraz, zaraz -przerwał jej Lucien, gwałtownie podnosząc głowę. - Właśnie to było napisane w liście od ciebie.
- Co? - Spojrzała na niego, nie pojmując, o czym mówi.
- W tym cholernym liście, który wyrzuciłem! Było napisane, że byliśmy dziećmi, kiedy...
- Kiedy straciliśmy rozum - podsunęła Raine. - No dobrze, ale czego chcesz dowieść?

Lucien wziął się pod boki.

- Może byś się wytłumaczyła? - zaproponował ponuro.

Raine patrzyła na niego z niedowierzaniem. Nagle zrozumiała, co zarzuca jej Lucien. Oto posądzają, że przy pomocy Klubu ona, Raine, szuka męża! A niech go gęś kopnie!

- Ty draniu!
- Aha. To też tam było - odparł Lucien z błyskiem w oku.
- To jeszcze niczego nie dowodzi. Po prostu ktoś inny też uważa cię za drania.

Raine poczuła, jak zalewa ją rozsadzająca fala złości. Musiała natychmiast wyładować na czymś swój gniew. Zaczęła wściekle kopać zsuwające się prześcieradło. W czasie tej walki stopy dziewczyny całkiem zaplątały się w złośliwą materię, więc nie pozostało jej nic innego, jak skacząc, dopaść krzeselka i opaść na nie bezsilnie. Po kilku sekundach udało jej się złapać oddech.

- Nie masz żadnych dowodów, że to ja napisałam list - wy-dyszała.

- Mam. Tylko ty bez trudu umiałabyś podrobić moje pismo.

Raine nie mogła uwierzyć, że dała się wciągnąć w tę absurdalną rozmowę.

- Jasne, nic prostszego na świecie. Wystarczyło złapać kure, unurzać ją w atramencie i kazać jej biegać po papierze!

- Może nie zauważyłaś, ale ja nie żartuję.

Fakt - od dłuższego czasu Lucien zdawał się być śmiertelnie poważny. Raine wzięła się w garść. Musi się postarać. Będzie poważna i logiczna. Precz z sarkazmem!

- Dobrze, zbierzmy fakty. Uważasz, że wysłałam ten list, by zwabić cię w pułapkę, a w konsekwencji zmusić do małżeństwa?

- Ja zadałem tylko kilka pytań.

- Czy raczej - rzuciłeś parę oskarżeń?

- No, może zabrzmiała w moich słowach subtelna, oskarżycielska nuta.

- Subtelna! Ha, ha! - Raine zaśmiała się teatralnie. - I dlaczego to wszystko? Bo nazwałam cię draniem! Zresztą, ktoś inny się ze mną zgadza. Trafił w dziesiątkę.

- Uważaj, Featherstone!

- Ty jesteś draniem! To diagnoza, nie obelga! - I to tyle, jeśli chodzi o poważną i logiczną rozmowę z Kmcaidem. Nie jest w stanie się z nim dogadać. Ten facet doprowadza ją do szału! - Ale wróćmy do twojej teorii. Zwabiłam cię tu, wysyłając list, w którym trafnie nazwałam cię draniem. Ale to nie wszystko. Napisałam też drugi list, tym razem twoim charakterystycznym, kurzym pismem. Po co? Żeby móc wyjąć go z kieszeni i pomachać ci przed nosem, wołając: „Hej ho, patrz, ja też dostałam list!”. O to ci chodzi? - wydyszała Raine, patrząc mu złowrogo w oczy.

Lucien uniósł brwi.

- Może.

- A może nie? - syknęła Raine. - Powiedz, po co miałabym wciągać cię w coś takiego? Z jakiego powodu miałabym chcieć cię usidlić?

- Żeby przejąć moją ziemię.

- Nie muszę wychodzić za ciebie za mąż, żeby to osiągnąć - oświadczyła z godnością. - Wystarczy, że odnajdę list dziadka do Nanny, bym dopięła swego. Sprawiedliwości stanie się zadość!

- Nie masz szansy. Taki list nie istnieje.

Raine zacisnęła zęby. Dość tej jałowej dyskusji. Nie zależy jej, by przekonać Luciena do swojej racji.

- Lucien, czy naprawdę sądzisz, że posunęłabym się tak daleko, by osiągnąć swój cel? Zresztą, nawet jeśli udało mi się ciebie tu zwabić, to co dalej? Jak miałabym cię przekonać, żebyś się ze mną ożenił? Musiałabym chyba przystawić ci strzelbę do pleców i tak, trzymając cię na muszce, wyruszyć na poszukiwania najbliższego kaznodziei. Ach, niech to licho! - Raine uderzyła się po udzie. - Ale ze mnie ciapa! Zapomniałam strzelby!

Lucien podrapał się po głowie.

- Szczerze mówiąc, to brzmi trochę nieprawdopodobnie, nawet dla mnie.

- Dzięki.

- Naprawdę nie miałaś z rym nic wspólnego?

Raine pokręciła głową.

- Ja też jestem ofiarą. - Zamachała pięścią. - Ale jeśli dopadnę sprawców tego żartu, już ja im pokażę! Obedrę ich ze skóry!

- O tak, to będzie wielka przyjemność! Zostaw ją mnie!

Raine popatrzyła na Luciena z niedowierzaniem. Oto po raz pierwszy od niepamiętnych czasów byli zgodni. To dziwne uczucie, zgadzać się ze swoim zaprzysiężonym wrogiem. Zamrugwała, by nieco ochłonać. Taka zgodność to niebezpieczna sprawa. Lepiej już się kłócić, oskarżać, walczyć. Przynajmniej wszystko jest jasne. Postanowiła zmienić temat i wrócić na neutralny grunt.

- Nie jesteś głodny? Może byśmy coś wrzucili na ruszt?  
- spytała od niechcienia.

- Dobry pomysł. - Lucien podszedł do półki i przyjrzał się zapasom. - Mamy niesamowity wybór. Fasola. Fasola. Albo fasola.

- To dla mnie zbyt trudne. Ty zdecyduj.
- Niech będzie fasola - stwierdził Lucien i zdjął z półki dwie puszki.

Następne pół godziny spędzili na gotowaniu, w całkiem przyjaznej atmosferze. Także później, podczas kolacji rozmawiali niezwykle życzliwie i z ożywieniem, mimo tak wielu ograniczeń w tematach. Oboje starannie unikali drażliwych kwestii: spornej ziemi, śmierci dziadka dziewczyny, plotek na temat ich romansu, kto temu wszystkiemu zawinił, listu do Nanny, pracy na ranchu, płotów dzielących ich pola, i wielu innych. Posiłek przebiegał bez większych zakłóceń.

Kiedy skończyli kolację, burza trochę się uspokoiła. Rzęsisty deszcz zamienił się w nieszkodliwy kapuśniaczek, a wichura w łagodny wietrzyk. Tylko rytmicznie spadające z wiązu krople wciąż jeszcze hałaśliwie uderzały o dach i spływały przez szczelinę do wiadra w kącie. Nagle Raine poczuła przemożną senność.

- Może byśmy się zdrzemnęli? - zaproponowała.
- OK. Zajmij łóżko. - Lucien zdjął ze sznurka koc i ułożył prowizoryczne pościelenie na podłodze przy piecyku.
- Jesteś pewien? - spytała Raine, nie kryjąc wdzięczności.
- Jasne. Spałem w gorszych warunkach.
- Ale wtedy byłeś młodszy - zażartowała Raine, po czym bez dalszych dyskusji przeszła na swoją stronę i padła na łóżko. Lucien ułożył się na wznak i położył głowę na ramionach.
- I kto to mówi? Czy twoje ostatnie urodziny to nie był ten kamień milowy?

- Milowy czy młyński? - zaśmiała się.
- Zdziwiła się, gdy Lucien nie odpowiedział podobnym tonem.
- Czy skończyć trzydzieści lat to dla kobiety data przełomowa? - spytał tak, jakby naprawdę chciał wiedzieć.
- Raine otuliła się kocem i zwinęła w kłębek.

- Chyba diabeł nie jest tak straszny, jak go malują.  
- A nie martwisz się, że nie masz jeszcze męża ani dzieci?  
- pytał dalej z powagą.

- Nie - skłamała, siląc się na lekki ton. Nie daj Boże, by Lucien dowiedział się prawdy. Żartom i kpinom nie byłoby końca. - A ty? Nie marzysz o żonie i gromadce brzdąców? - zrewanżowała się pytaniem.

- O, nie. Nie ma mowy.

Że też musiało to zabrzmieć tak ostatecznie. Co za determinacja. Raine zacisnęła usta.

- Dobrze, że wyjaśniliśmy sobie pewne sprawy - ucięła niewygodny temat. - Może byśmy się zdrzemnęli?

Lucien chrząknął na zgodę i zdmuchnął lampy.

- Dobranoc.- powiedział cicho.

Raine obawiała się, że świadomość fizycznej bliskości Luciena skutecznie odegna sen, jednak tak się nie stało. Już po paru minutach spała smacznie.

Obudził ją jakiś hałas. Minęła dłuższa chwila, nim uświadomiła sobie, co się dzieje. Oto znów rozpętała się burza i ulewny deszcz z gwałtownym łoskotem uderzał o blaszany dach. Raine zastanawiała się, jak pracownicy Luciena byli w stanie spać w takim hałasie. Może męskie chrapanie zagłuszało tę potworną orkiestrę przyrody?

- Nie śpisz? - dobiegł ją zaspany głos Luciena.

- Trochę trudno spać w tym łomocie.

- Oj, chyba się starzejemy, skoro przeszkadza nam byle postukiwanie. - Ziewnął rozdzierająco. - Skoro spanie mamy z głowy, może opowiesz mi coś więcej o tym Klubie Serc?

- OK. - Raine poprawiła zwinięte prześcieradło. - Co chcesz wiedzieć?

- Jak działają?

Raine nie była pewna, ile może wyjawić, ale znała Luciena

na tyle, by wiedzieć, że i tak nic go nie powstrzyma przed zdobyciem wszelkich informacji.

- Klub działa w ukryciu. Inicjuje spotkania potencjalnych par, rozumiesz?

- A w jaki sposób zapada decyzja, kto z kim powinien się połączyć?

Raine położyła się na boku. Przez rozwieszzone na sznurku prześcieradło widziała zarys postaci Luciena oświetlonej czerwonym blaskiem dobywającym się z piecyka.

- Trzeba zacząć od tego, że Klub postanawia działać, kiedy ktoś z rodziny lub przyjaciół kandydata zwróci się do nich z prośbą. Wtedy badają całą sprawę i wybierają partnera.

- I co potem?

- Mają tych swoich Inicjatorów. Nie... zaraz. Prowokatorów. I oni zajmują się wszystkim.

- Czyli to oni są tymi współczesnymi swatami?

- Tak. Właśnie ci Prowokatorzy stwarzają odpowiednie warunki, by para się spotkała.

- Tak jak my teraz?

- Jak my teraz - potwierdziła cicho i wsparła się na łokciu, by lepiej widzieć Luciena. - Oczywiście to nie działa, prawda?

- Ani odrobinę - przytaknął Lucien z trochę przesadną, jak na jej gust, stanowczością.

Zamknęła oczy i opadła z powrotem na posłanie.

- A co się dzieje, kiedy wysiłki Prowokatorów spełzają na niczym? - spytał Lucien po chwili milczenia.

Dobre pytanie. Raine zmarszczyła brwi. No właśnie - co potem?

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia - powiedziała.

- Zatem ktoś się do nich zgłosił i wstawił się za nami? Ktoś, kto nas zna.

- Chyba tak - zająknęła się Raine.

- Czy masz jakiś pomysł, kto to mógł być?
- Skąd mogę wiedzieć! Nie znam nikogo, kto cię lubi. - Zabrzmiało to dość brutalnie.
- Nawzajem - odparował Lucien.
- Więc musiał to zrobić ktoś, kto nas na tyle nie znosi i na tyle nam źle życzy, by popychać nas do małżeństwa.
- Musieliśmy komuś nieźle podpaść - odparł Lucien żalonym tonem. - Ciekawe komu?

Raine nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. Lucien jej zawtórował. Kiedy się uspokoiili, Raine powiedziała:

- Popatrz tylko, ktoś chce nam wyświadczyć przysługę, usiłując popchnąć nas do tego małżeństwa, a my zachowujemy się tak, jakby sama perspektywa czegoś takiego była nieznośną torturą! - Zachichotała ponownie.

- Torturą? Kochanie, małżeństwo z tobą to byłby...

Lucien urwał, jakby przestraszył się własnych słów. Raine przestała się śmiać.

- To byłby... Co chciałeś powiedzieć, Lucien?

Akurat w tym momencie burza postanowiła przypomnieć o sobie i chatka znów zatrzęsła się od huku wiatru i łoskotu uderzających o dach gałęzi. Raine dałaby sobie rękę uciąć, że Lucien powiedział „raj na ziemi”, ale to chyba niemożliwe? Pewnie powiedział „piekło na ziemi”, albo coś w tym stylu, znając go. Nagle Raine poczuła, że rozpierają ciekawość. Musi wiedzieć! To niepodobna, żeby tak to zostawić.

- Lucien? Czy nie powiedziałeś przypadkiem „raj na ziemi”? - zapytała, siadając na posłaniu.

Lucien jęknął.

- Możliwe - przyznał cicho.

- Ale dlaczego? Myślałam, że się nienawidzimy?

Lucien długo milczał. Nie ponaglała go, za co był jej bardzo wdzięczny.

- Sama wiesz, dlaczego - powiedział w końcu niechętnie. Jakby ktoś wrywał mu to wyznanie z gardła. - Wiesz, co było między nami.

- Chodzi ci o seks?

- O nie, kochanie. Nie jestem święty, ale z tobą to było coś innego.

Ostrożnie wystawiła nogę spod koca i dotknęła stopą zimnej podłogi.

- Jeśli posuniesz się jeszcze choćby o milimetr, dowiesz się, co mam na myśli. Obiecuję.

- OK - powiedziała.

Ale czy miało to oznaczać, że z przyjemnością się dowie, czy też, że za żadne skarby nie ruszy się z miejsca - tego Lucien nie dowiedział się nigdy, bowiem w tym momencie chatę przesyłał niezmierny świst, huk i zgrzyt.

- Lucien! - zdążyła wrzasnąć Raine.

I na jej głowę runął cały świat. Zapanowała ciemność.

- Raine!

Lucien zamrugał i przez długą chwilę rozglądał się wkoło w kompletnym oszołomieniu. Wreszcie pojął, co się stało. Drzewo swym potężnym ciężarem zważyło się na domek. Co gorsza, wiaź, którego korzenie podmyła ulewa i naruszyła wichura, obsunął się w koryto rwącej teraz rzeki, pociągając za sobą część chaty.

Lucien leżał przywalony szczątkami tego, co zostało na miejscu. Kiedy wyswobodził się z fragmentów odzieży i sznura i wyczołgał spod sterty desek, ujrzał nad sobą bezkresne niebo. Ziemię spowijały jeszcze ciemności, ale na horyzoncie zaczynało już jaśnieć. Deszcz nieco złagodniał, a gdzieś tam przez chmury mgliscie przeświecały gwiazdy.

Ściana, przy której stał piecyk, znikła. Lucien odgadł się, że

popłynęła gdzieś, porwana prądem rzeki. Zresztą, z dość niepokojąco bliskiej odległości dobiegł go wściekły huk wezbranej wody. Pora stąd zniknąć, pomyślał, rozglądając się i nawołując Raine. Jeszcze moment, a oni również znajdą się w kotłowaniu spienionej wody!

Po omacku zbliżył się do miejsca, gdzie wcześniej znajdowało się łóżko i zamarł bez ruchu. Po łóżku nie zostało ani śladu! Nic, prócz kawałka dachu i połamanych gałęzi.

Lucien zaczął wołać bez opamiętania:

- Raine! Raine!
- Lucien - dobiegł go zduszony głos.
- Raine, to ty?
- Tak. Nie mogę się ruszyć - usłyszał jak zza ściany.

Odetchnął z ulgą.

- Gdzie jesteś? Nic ci się nie stało? - Ruszył w kierunku głosu.

- Chyba nic - usłyszał nieco wyraźniej. - Coś na mnie spadło. Nic nie widzę.

Po lewej stronie, w korycie rzeki, dojrzał zwałisko czegoś, co jeszcze przed chwilą było ścianą i częścią dachu, a teraz, wsparte o brzeg stanowiło przedziwną płataninę gałęzi, desek i kawałków blachy.

Brodząc w dość silnym nurcie, Lucien dotarł do szczątków chaty. Gorączkowo rzucił się do odwalania przygniatającego Raine stosu, przemawiając jednocześnie uspokajającym głosem. Musiał zacisnąć zęby - obolałe ramię przypomniało o sobie. Żałował; że nie ma żadnego narzędzia, czy choćby rękawic, które ułatwiłyby mu zadanie. Niemało wysiłku kosztowało go uutorowanie sobie przejścia do pułapki, w której utknęła Raine. Nareszcie, z pokaleczonymi rękoma i paroma drzazgami boleśnie wbitymi w osłonięte jedynie prześcieradłem ciało, niemal osiągnął cel.

- Lucien? - usłyszał ciche wołanie Raine. Dopiero teraz

zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy od wielu lat zwracała się do niego po imieniu. Przeszedł go dreszcz. No cóż, musiała nieźle najeść się strachu. - Jesteś tu?

- Tak, kochanie, już za chwilę cię uwolnię. - Otarł pot z czoła i spróbował się wyprostować.

- Szkoda, że nie wzięłam Psa. On by ci pomógł.

- Uwolnię cię, zaufaj mi. Poradzę sobie nawet bez twojego ukochanego Psa - uspokajał dziewczynę, usuwając kolejne przeszkody. Jeszcze tylko ogromny kawał pnia z całym systemem korzeniowym wiązu - że też to drzewo tak się rozrosło! Jeszcze tylko kilka sińców, skaleczeń i zadrapań - droga wśród najeżonych kolcami kaktusów nie byłaby bardziej ciemista.

- Raine, kochanie, mów do mnie. Gdzie jesteś?

- Tutaj - dobiegł go z lewej strony zduszony głos. - Nie mogę się ruszyć. I nic nie widzę.

Lucien dosłyszał nutę tłumionego strachu

- Jeszcze sekunda i będę przy tobie.

W tym momencie przez skłębione chmury przedarł się księżyc i między pniem a spletanymi konarami wiązu Lucien rozpoznał fragment metalowej konstrukcji łóżka. Z przerażeniem pokręcił głową. To cud, że Raine nic się nie stało! Jej anioł stróż dobrze się spisał.

Odrzucając na boki gałęzie, obwieszane jak choinka różnymi dobrami - skarpetkami, puszkami fasoli, patelnią i kawałkami sznurka - Lucien wypatrzył coś w rodzaju jamy w ziemi, na dnie której ujrzał materac, przygnieciony korzeniami wiązu. To stamtąd dobiegał głos Raine.

- Gdzie jesteś, kochanie? - spytał.

- Tutaj.

Odpowiedź potwierdziła jego przypuszczenia. Pod materacem leżała Raine.

Nie zwlekając ani chwili, zdrową ręką chwycił ogromny

korzeń przygniatający materac od góry i zamachnąwszy się z całej siły, odrzucił go na bok.

Ześliznął się w dół. Przewrócił materac i ujrzał Raine.

Wyszczerzył zęby w zwycięskim uśmiechu.

- Witaj, moja panno.

- Witaj. - Sądząc po uldze, jaką dosłyszał w głosie dziewczyny, jej uśmiech musiał być równie szeroki jak jego.

Raine leżała na ziemi, tylko częściowo okryta prześcieradłem. Lucien wyteżył wzrok. Niestety, ciemności panujące w jamie uniemożliwiały mu jednoznaczne stwierdzenie, czy bielizna, której skrawki osłaniały intymne części ciała Raine, to czerwony jedwab, czy też nie. Z pewnością nie była to jednak noszona przez nią kiedyś bawełna.

- I jak się czujesz? - spytał, starając się, by głos nie zdradził jego emocji.

- Obolała. Przerażona.

- Ale uszłaś z tego cało? - Nie pytając o pozwolenie, pochylił się i szybkimi ruchami sprawdził, czy nic sobie nie złamała. Z zadowoleniem pokiwał głową. - Mogło być o wiele gorzej. - Okrył ją prześcieradłem i pomógł usiąść. - Chyba musisz być niezłe umorusana - zaśmiał się.

- Niewiele widzę, ale podejrzewam, że ty też - zawtórowała mu śmiechem.

Lucien spoważniał.

- Drzewo nie wytrzymało naporu wiatru i wody i obsunęło się do rzeki.

- Coś zostało z domku?

- Niewiele.

- Ale tobie nic się nie stało? - Dotknęła jego ramienia. Kiedy długą chwilę nie odpowiadał, usiłując uciszyć nagłe emocje i pozbyć się nieproszonych skojarzeń, powtórzyła pytanie:

- Lucien? Nic ci nie jest?

Przełknął ślinę i wymruczał:

- No cóż, dokonałem paru rycerskich czynów, których celem było uwolnienie księżniczki z wieży. Poza tym, wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Raine uśmiechnęła się i odpowiedziała tym samym tonem:

- Przykro mi, że księżniczka nie mogła cię wspierać. Bezradnie czekała, aż przybędziesz jej na ratunek.

Lucien roześmiał się wesoło.

- Nic nie szkodzi, księżniczko. Dzięki temu dowiodłem, że jestem prawdziwym rycerzem.

- Czy nie czas opuścić twierdzę, mój panie?

- Właśnie pomyślałem o tym samym - odparł Lucien i podniósł się ostrożnie.

- Uważaj.

- Spokojnie. Wyjdę pierwszy i podam ci rękę.

Chwycił zwisającą gałąź i podciągnął się do góry. Przeszył go przejmujący ból w zranionym ramieniu. Cóż, jedną ręką będzie o wiele trudniej wydostać się z tej jamy. Wziął głęboki oddech i już podciągnął się do połowy, gdy nagle ogłuszył go straszliwy huk. To gałąź pękła pod jego ciężarem, a spadając w dół, pociągnęła za sobą gałęzie, korzenie, kawałki blachy, deski - słowem wszystko, co Lucien przed chwilą odsuwał, przedzierając się do uwięzionej Raine. Cały ten ciężar zwałił się z hukiem na Luciena, niczym mściwa bestia. Błoto i skalne odłamki przypieczętowały koniec katastrofy, niczym przy zagładzie świata. Zapanowała ciemność. I cisza.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Cisza trwała dość długą chwilę, po czym gdzieś z tyłu dobiegł Luciena stłumiony szloch Raine.

- Lucien, błagam, odezwij się. Lucien, powiedz coś.

- Coś.

Chyba właśnie na to czekała, bo wybuchła głośnym płaczem. Lucien podczołgał się do niej.

- Kochanie, nie płacz. Nie chciałem ci sprawić przykrości.

- Jęknął. W bok boleśnie wbiła mu się ostra krawędź skały.

Raine rzuciła się w jego stronę, całym ciałem przygniatając go do źródła bólu.

- Aj! - wrzasnął.

- Lucien, co ci jest? - Raine wpadła w rozpacz.

- Nic - wyjęczał.

Chyba słowo „nic” podziałało na Raine tak samo jak „coś”, bo znów zaczęła rozpaczliwie płakać.

- Jesteś ranny. Poznają po twoim głosie - załkała.

Wodziła palcami po jego ramionach, klatce piersiowej i brzuchu, w poszukiwaniu ran. Chyba nie znalazła nic strasznego, bo łkanie ucichło. Dotknęła jego twarzy. Trafiała na szramę nad nosem, pamiątkę po owej walce w obronie jej honoru.

Lucien natychmiast odwzajemnił jej troskę, ścierając łzy z policzków. Wypełniło go jakieś bliżej niesprecyzowane uczucie. Radości. Szczęścia. Nagle jego mózg przestał działać. Włączył się instynkt. Przygarnął Raine do siebie i mocno ją przytu-

lił. Niezdarnie poszukał jej twarzy w z wolna ustępujących ciemnościach. Zaskoczona Raine zamarła na moment. Jej przyspieszony oddech podziałał na niego jak narkotyk. Przywarł mocniej wargami do jej słodkich, miękkich ust. Nie wzbraniała się, a po chwili z równym zapałem zaczęła odwzajemniać pocałunki.

Czas się zatrzymał. Nagle już nic nie było ważne. Jedyne, co się liczyło, to by ją całować, dotykać jej, by znów połączyła ich ta odwieczna siła, której nie pokona ani burza, ani wichura, ani nawet ich własna wola.

Lucien wyciągnął rękę i namacał materac, który wcześniej ściągnął z Raine. Opadli nań spleceni mokrymi prześcieradłami. Otuliły ich długie włosy Raine.

- Cicho, kochanie. Spokojnie - wyszeptał.

- Już myślałam, że nie żyjesz. - Całowała jego twarz i ramiona, jakby chciała scałować ból z podrapanego i posiniaczonego ciała. Lucien nie czuł już nic poza niewysłowioną rozkoszą.

- Nie doceniasz mnie. Waląca się na łeb chata to za mało, żeby mnie zabić.

- Zapominasz o drzewie.

- No tak. Troszkę dało mi w kość.

Jakby w odpowiedzi, szczątki chaty zachwiały się nad nimi w śmiertelnej agonii. Lucien instynktownie przywarł do Raine, zasłaniając ją ciałem przed uderzeniem. Na szczęście nic nie runęło.

Raine odsunęła się trochę.

- Lucien, proszę, nie poświęcaj się więcej dla mnie.

Odgarnął z policzka dziewczyny wilgotne pasmo czarnych włosów.

- Przepraszam, to odruch bezwarunkowy - szepnął. - Następnym razem zachowam się racjonalnie i schowam się za tobą.

Choć nie wiem, czy to bezpieczne, zważywszy na twoją posturę, wskazującą na przynależność do wagi piórkowej.

Zaśmiała się cicho.

- Kłamca. Nigdy nie schowałbyś się za kobietą. A poza tym moja waga wcale nie jest piórkowa.

- No, tak. Jesteś raczej smukła, ale puszysta wszędzie tam, gdzie trzeba.

Jego dłoń wędrowała po ciele dziewczyny w rytm wypowiedzianych słów. Otulające ją prześcieradło rozchyliło się. Zapadła cisza. Jedyne dźwięki, który wypełniał teraz uszy Luciena, to przyspieszony oddech Raine i jego własny puls. Poczł znajomy zapach ciała dziewczyny. Woń słodczy, kwiatów, wilgotnej ziemi.

Ogarnęło go zapomniane od lat, niemal bolesne, przemożne pożądanie. Wcześniej zdarzyło mu się coś takiego tylko jeden raz w życiu - dziesięć lat temu, gdy kochał się z Raine. Po raz pierwszy i ostatni.

Tamto uczucie powróciło teraz z całą mocą, przypominając mu wszystko, co przez te dziesięć lat usiłował wymazać z pamięci. Raine była niezwykłą, niepowtarzalną kobietą. Jedyną na świecie. Jedyną dla niego. Bycie z nią to całkiem inny wymiar, wymykający się zasadom logicznego myślenia.

Strata Raine to samookaleczenie. Śmierć. Jak mógł wytrzymać bez niej tyle lat?

- Powstrzymaj mnie teraz - szepnął, ostatkiem woli zdobywając się na ten bezgraniczny wysiłek. - Bo za chwilę nic mnie już nie powstrzyma.

- Lueien. Niech tak będzie - odparła Raine niemal bezgłośnie.

- Nie będziesz tego rano żałowała?

- Teraz jest noc - wyszeptła.

Nie trzeba go było dłużej przekonywać. Tłumione tak długo

pożądanie wybuchło z nową siłą. Niecierpliwie odrzucił prześcieradło.

- Chcę na ciebie patrzeć.

- Więc patrz. - Ujęła jego dłoń i powiodła wzdłuż swojego ciała.

W skroniach czuł dudniące pulsowanie.

- Mam brudne ręce - zaprotestował.

- Zostawisz ślady - zaśmiała się cicho. - Zamknąłeś oczy?  
- Zrobił, jak prosiła. - Pamiętasz, jak było wtedy? Zapaliłeś lampy naftowe.

- Twoja skóra lśniła w ich świetle jak złoto.

Na środku chaty rozłożyli materac i przykryli go białymi prześcieradłami, które bardziej pasowałyby do nocy poślubnej. To go nieco zmroziło. Zauważyła jego wahanie. Zrzuciła ubranie i stanęła przed nim naga. To było tak proste, naturalne i oczywiste. Jak zaślubiny. A potem położyła się na tej bieli. Jej czarne włosy rozsypały się wokół głowy. Lucien nigdy wcześniej ani później nie widział czegoś tak podniecającego.

- Byłaś wcieleniem doskonałości - szepnęła.

- Ty też. Nigdy więcej nie przeżyłam czegoś równie wspaniałego.

To wyznanie podziałało na Łucienę jak woda na młyn. Jego dłonie jak w transie powędrowały do jedwabistych piersi dziewczyny.

Raine jęknęła w ekstazie. Wsunęła palce w jego włosy i przyciągnęła go mocno do siebie.

Odczekał jeszcze przez moment. Chciał, by to ona podjęła decyzję. Zrobiła to i w akcie starym jak świat zaprosiła go do siebie, oddając mu się po raz drugi w życiu. Nie wahał się dłużej.

Całkowicie stracił kontrolę nad sobą. Przerwał delikatne pieczyoty. Ogarnęło go tylko jedno pragnienie - połączyć się z nią

w jedno ciało. Gdy przekonał się, że jest gotowa, zrobił to. Po długiej chwili niezmiernego szczęścia, spełniło się to, na co czekał tyle lat, a czego nie zaznał z żadną inną kobietą. Razem poszybowali w przestworza.

Więc tamten pierwszy raz nie był niepowtarzalnym cudem. Teraz stało się to samo. Długo leżeli mocno spleceni ramionami, oddychając jakby jednym oddechem. Zaspokojona namiętność wyciszała się z wolna.

Zacząli powracać do rzeczywistości.

Co też ona najlepszego zrobiła?

Raine usiłowała zapanować nad przyśpieszonym oddechem. Bezskutecznie. Musiała czekać jeszcze długą chwilę, nim jej roznamiętnione ciało, przez które raz po raz przebiegała fala radości i ciepła, ucichło. Nie chciała, by stało się to za wcześnie. Bała się tego, co nastąpi potem.

Lucien nadal przykrywał ją swoim ciałem, jakby wciąż ją posiadał. Stanowili jedność - jego zapach zmieszał się z jej zapachem, jego oddech stał się jej oddechem. Czuła się tak, jakby wtedy, przed laty, naznaczył ją jakimś niewidzialnym piętnem, przez co już na zawsze do niego należała. Jakby nic się nie zmieniło. Wręcz przeciwnie, jakby minione lata pogłębiły jedynie łączącą ich więź.

Czy on czuł to samo? Chyba tak. Przecież powiedział, że nie unikał zbliżeń z innymi kobietami, ale to nigdy nie było to samo, co z nią. A więc wbrew wszystkiemu, co ich dzieliło, byli ze sobą połączeni. W jakiś tajemniczy sposób należeli do siebie. Temu nie da się zaprzeczyć. Pozostawało tylko jedno pytanie.

Co u licha mają teraz z tym zrobić?

- Dobrze się czujesz? - szepnął Lucien. Wsparł się na łokciach po obu stronach jej głowy. - Nie sprawiłem ci bólu?

Mogła teraz to wszystko skończyć. Wystarczyłoby odepchnąć go i zimnym tonem odpowiedzieć: „dzięki”, a czar chwili prysłby bezpowrotnie. Być może Lucienowi byłoby przykro, ale ona uchroniłaby się przed bólem, którego niezawodnie dozna w najbliższej przyszłości. Już miała się odezwać, kiedy jej dłoń wędrująca po jego twarzy natrafiła na bliznę na czole.

- Nie, nie - szepnęła cicho. Przyciągnęła jego głowę i pocałowała go czule.
- Nie jest ci żal? - spytał po chwili.
- Pewnie za jakiś czas będzie. Ale teraz nie mam siły zastanawiać się nad tym.

Lucien położył się obok i przyciągnął Raine do siebie. Zapomniała już, jak to jest leżeć w męskich ramionach i z całą intensywnością odczuwać cudowną harmonię między kobiecością a męskością. Dwa biegunowo odrębne ciała. Tak różne, jak Ziemia i Księżyc. A jednak, tak samo jak ciała niebieskie, łączyły je doskonały w swej harmonii taniec przyciągania i odpychania. Nie istniały bez siebie. Żadne nie byłoby tym, czym jest, gdyby zabrakło drugiego.

- Tak. - Lucien westchnął ciężko.
- Co? - spytała Raine, unosząc głowę.
- Kiedy dziś rano wyjechałem z domu, miałem dokładny plan działania.
- Jaki plan?
- Zaplanowałem, że przyjadę do chatki i znajdę tam schronienie przed burzą stulecia sam na sam z kobietą, z którą łączy się moje najlepsze wspomnienia. Że burza porwie chatkę i obróci ją w ruinę, a my będziemy w środku. Następnie po raz pierwszy w życiu uda mi się, jak rycerzowi, uwolnić moją damę z opresji. Dlatego napisałem do siebie list. Na końcu mieliśmy się kochać tak, jakby jutro miało nigdy nie nadejść. - Pogłaskał

ją po włosach i spytał cicho: - Czy ty podobnie zaplanowałaś swój dzień?

- Och, tak - odparła, naśladowując jego teatralny ton.

- Tak też myślałem. A jakie masz plany na jutro? - zagadnął, jakby prowadził salonową konwersację. - Może coś w tym samym stylu?

Coś w tym samym stylu? Co miał na myśli? - Szybko zaczęła się zastanawiać. Raczej nie to, co ona sobie teraz wyobraża.

- Chyba spróbuję znaleźć spokojniejsze zajęcie - odparła ostrożnie.

- Ach tak. To by oznaczało, że nie dostanę kolejnego listu wzywającego mnie do leśnego domku w czasie burzy?

Kolejnego listu? Raine leżała chwilę sztywno, jak porażona. W pytaniu Luciena nie było żadnych ukrytych treści, żadnego subtelного podtekstu. Przedstawił swoją ofertę w sposób jasny i czytelny, a ona mogła ją tylko przyjąć lub odrzucić. Spróbowała opanować emocje, zastanawiając się, co wybrać. Dopiero teraz przyszło jej do głowy, że mogliby to z Lucieniem powtórzyć. I może nawet nie raz? W każdym razie przyjemną część całego zdarzenia - bez walących się drzew, rozpadających się chat, huraganu, uciekających koni, i bez narażania na szwank życia w rwącym nurcie i błotnistych jamach.

Nagle po raz pierwszy pomyślała, że przecież mogliby się spotykać. Zamknęła oczy i oddała się błogim marzeniom. Mogliby umawiać się na romantyczne randki. Do licha ciężkiego! Przecież są dorośli! Mało powiedziane - skończyli trzydziestkę. Tak zwana opinia publiczna z pewnością uważa, że zbliżają się do niebezpiecznego wieku średniego.

Nic nie stoi na przeszkodzie, by spotykali się regularnie. Na obu ranczach jest kilkanaście pasterskich chatek, gdzie niczym nie skrępowani mogliby spędzać czas w sympatyczniejszym

otoczeniu niż dzisiejszej nocy. Za każdym razem inna chata, a potem kolejna runda. Jeśli nie siałiby wokół zniszczenia, nikt nie musiałby wiedzieć o ich nowym hobby.

Raine poczuła, jak na samą myśl o tym oblewają fala gorąca. Pozostawało tylko jedno pytanie - czy Lucien podziela jej entuzjizm, czy też po prostu rzucił przynętę, by cynicznie obserwować, jak ona ją naiwnie chwyta?

Powiedziała więc z najwyższą ostrożnością:

- Nie sądzę, żeby ponowne spotkanie było rozsądne. A ty, co o tym myślisz? - W jej głosie, wbrew jej woli, zabrzmiała nutka nadziei.

- O, to byłoby wręcz nieroztropne. Jesteśmy przecież dorosłymi ludźmi, a nie podlotkami, którym buzują hormony - odparł Lucien z przekonaniem, po czym dodał szeptem - Ale zrobiłabyś to?

Raine odpowiedziała spontanicznie, bez chwili namysłu:

- Tak. Chyba nie potrafiłabym sobie odmówić tej przyjemności.

- Ja też - wyznał Lucien.

Nagle przez głowę Raine, niby błyskawica, przeleciała trzeźwiąca myśl. Przed oczami stanęła jej Nanna. Raine zamrugała powiekami. Nanna nie uznawała pozamałżeńskich namiętności. Jeden wybryk dawał się jeszcze jakoś wytłumaczyć. Być może nawet nie gorszył. Ale kolejne? Nie, to wykluczone. I nie chodziło nawet o to, że babcia urządziłaby wnuczce piekło. Ona miała po prostu niezachwiane przekonanie na temat tego, co jest dobre, a co złe. A Raine, przez wszystkie przeżyte wspólnie z babcią lata, przejęła jej system wartości.

Decyzja na „tak” oznaczałaby konieczność zmierzenia się z poczuciem winy, które stałoby się nieodłącznym towarzyszem spotkań z Lucieniem. Ono zabiłoby całą radość. Nawet Lucien nie potrafiłby z nim wygrać.

- To jednak niemożliwe - powiedziała nagłe katygorycznym tonem.

- Nanna?

Westchnęła ciężko.

- Tak. Nanna.

- Powiesi mnie za to, co dziś się stało?

- Jeśli to zrobi, to nie umrzesz sam. Zawisnę obok ciebie.

- Eee tam, nie wydaje ci się, że wybaczyłyby nam ten jeden wybryk? - zapytał Lucien z nadzieją w głosie.

- Tak. Ale tylko jeden.

- Chyba masz rację - przyznał.

Milczeli długo, w końcu Lucien odezwał się na pozór lekkim tonem:

- Wiesz, może się okazać, że nasza eskapada będzie miała pewne konsekwencje.

- Konsekwencje? - Raine zamarła. Jak mogła o tym zapomnieć?! - Masz na myśli dziecko?

- Hm - mruknął, kładąc dłoń na jej brzuchu pieszczotliwym gestem, jakby miał nadzieję, że oto w łonie Raine poczęło się nowe życie. - To zdarza się dosyć często, wiesz? Kiedy człowiek nie użyje tego, czego myśmy nie użyli - odparł nieco enigmatycznie. - Chyba że zażywasz pigułki?

- Nie.

- Tak myślałem. Musisz zrobić jak najszybciej test - szepnął i pogładził ciepłe wnętrze jej ud.

Ten dotyk zmacił nieco jej spokój, ale zdołała się opanować i trochę drżącym głosem spytała:

- A jeśli jestem w ciąży?

- Poradzimy sobie z tym we właściwym czasie.

- Nie zaplanowałam tego! - zawołała bezradnie. - To znaczy... to nie był spisek, żeby odzyskać ziemię Nanny - dodała z lekką paniką w głosie.

Lucien zastanawiał się przez chwilę.

- Chyba istnieją prostsze sposoby?

- Tak, ale chciałam, żeby przynajmniej jedno było między nami jasne - odparła Raine gorączkowo. - To, co się stało.

- Uważaj, co powiesz - przerwał jej. - Chcę, żeby to wspomnienie rozświetlało wszystkie moje dni. A kiedy ciało odmówi mi już posłuszeństwa i jedyną moją rozrywką stanie się siedzenie w fotelu na tarasie, chcę, by pamięć o dzisiejszej nocy wywoływała ten sam błysk w moich oczach i błogi uśmiech na twarzy. Żeby sąsiedzi zachodzili w głowę, co stało się staremu Kincaidowi, że wiecznie uśmiecha się tak idiotycznie.

- Będziesz się z tego śmiał? - Raine nie była pewna, czy to, co mówi Lucien, jej nie obraża.

- Nie. Chcę tylko powiedzieć, że dzisiejsza noc pozostanie w mojej pamięci na zawsze - wyznał. - A w twojej? - spytał ostrzejszym tonem.

Raine zamknęła oczy. Tak. W jej pamięci również. Niezależnie od tego, czy jest w ciąży, czy nie, ta noc pozostawi niezatarte wspomnienia jako najpiękniejsze doświadczenie życia. Wraz z tamtą nocą sprzed lat. Być może, gdyby okoliczności bardziej im sprzyjały, ta jedna noc przerodziłaby się w trwałą, dojrzałą związek, stając się czymś więcej niż wspomnieniem, które użyczy blasku oczom starego Kincaida.

Przytuliła się do niego mocniej. Musi rozkoszować się tym, co ma. Tym krótkim czasem, który los im podarował.

- Tak. Ta noc pozostanie także w mojej pamięci - szepnęła. - Na zawsze.

Lucien pogładził pośladki Raine. Jakoś nie potrafił wpaść nawet w lekką panikę. Czyż zaledwie kilka godzin temu nie zapewniał, że nie pragnie żony ani dzieci? Teraz to się nie zmieniło. Dlaczego więc nie czuje strachu?

Nagle stanął mu przed oczyma obraz Raine z dzieckiem przy piersi. Jego dzieckiem! Poczul jakieś nieopisane wzruszenie. Zamrugał oczyma, by odegnąć tę wizję.

Oto przed chwilą kochał się z najbardziej niezwykłą kobietą na świecie. Czy mieli jakiegokolwiek szanse, żeby stworzyć nowe życie? Nie znał się na tym zbyt dobrze, ale był silnym i zdrowym mężczyzną - wielkie ciało, twardy charakter - prawdopodobieństwo wydawało się bardzo duże. Czteryście milionów do jednego. A może pięćset, sześćset - wiedział, że może spłodzić wiele dzieci. Wobec takiego przeciwnika Raine nie miała szansy!

Nie mógł znieść ani sekundy dłużej ogarniającego go coraz bardziej napięcia. Wreszcie wyrwał się z objęć Raine i krzyknął wniebogłosy:

- Raine, uciekaj! Pod prąd! Pod prąd!

Zerwała się przerażona.

- Jezus Maria! Co się dzieje?

Lucien wziął głęboki oddech. Potrząsnął głową.

- Przepraszam, najdroższa. To chyba sen.

- Raczej koszmar.

- O tak, okropny koszmar. - Przeczesał włosy drżącą ręką.

- Moi maleńcy przyjaciele, całe miliony maleńkich przyjaciół kłębiły się nade mną. Już już mieli mnie dopaść! Pozostała mi tylko ucieczka.

Raine dotknęła jego wilgotnego policzka.

- Jesteś pewien, że ta jama nie działa na ciebie trochę klaustrofobicznie?

- Nie, skąd! Nie cierpię na klaustrofobię. Dopiero kiedy te tłumy zaczęły na mnie napierać...

Raine zmarszczyła brwi.

- Tłumy maleńkich przyjaciół?

- Tak. I ja koniecznie musiałem być z przodu, na pierwszej

linii. Inaczej przegrałbym z kretešem. - Lucien opadł z powrotem na posłanie.

- Coś dobrego czekało cię tam, na przodzie?

- Zaraz, zaraz. Ty chyba się ze mnie nabijasz? Nie pojmujesz grozy sytuacji?

- Ależ pojmuję, Lucien.

- Mówisz tak dziwnie - jęknął. - Zamierzasz stosować te swoje magiczne sztuczki? - Ziewnął.

- Pomyślałam, że może dzięki nim łatwiej zaśniesz.

- Och, przestań. - Przyciągnął ją do siebie. - Bo pewne części mojego ciała bardzo się ożywiają. Nie możemy im na to pozwolić. Nie ma mowy. Czy wyrażam się jasno?

- Jak słońce.

- Świetnie. Już prawie świta. Może byśmy się nieco zdrzemnęli? Co ty na to?

- Popieram. - Raine ziewnęła szeroko, starając się przywołać swoje pobudzone ciało do porządku. - A gdyby twoi mikroskopijni kumple jeszcze raz na ciebie napierali, ruszaj od razu do ataku. Ofensywa to najlepsza broń. Z pewnością utrzymasz się na pierwszej linii. OK?

Lucien jęknął.

- Szkoda, że to powiedziałaś.

O rany.

- Czyżbyś przeszedł do defensywy? To musiał być rzeczywiście dziwny sen.

- Nawet sobie nie wyobrażasz - przytaknął z powagą, po czym dodał coś, co kompletnie ją zaskoczyło - Ojejku! Mam nadzieję, że twoja dziewczuszka to dobra biegaczka. Może im zwieje. Chociaż, sądząc po tobie, będzie próbowała całą tę watahę sama pokonać. A niech to! Równie dobrze możemy się od razu poddać. Mamy przechlapane. Już po nas.

Raine pokręciła z niedowierzaniem głową. Ach ci męż-

czyżni. Trudno ich zrozumieć, czy to na jawie, czy we śnie. Zrezygnowana zamknęła oczy.

- Dobranoc, Lucien.

- Tak. Odrobina snu dobrze nam zrobi. - Przygarnął ją do siebie. - Dobranoc wam wszystkim.

Wszystkim?

Raine aż podskoczyła. O kim on do licha mówi?

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Błade światło przedarło się do ich kryjówki, budząc Luciena. Czuł przez skórę, że jego ludzie pojawiają się tu lada moment. Zerknął na wtuloną w niego Raine. Już wkrótce wszystko się zacznie. A może skończy? Zależnie od rozwoju wypadków. Ostrożnie unióś głowę, starając się nie zbudzić Raine. W nogach materaca ujrzał skotłowane prześcieradła, a wśród nich intymne części jedwabnej damskiej bielizny.

Wyszczrzył zęby w triumfalnym uśmiechu. Jedwab aż raził oczy płomienną czerwienią.

A więc Raine przybyła na ich potajemne spotkanie w czerwonej jedwabnej bieliźnie, ukrytej pod codzienną farmerską odzież! Czy ubrała się tak świadomie, czy kierowała nią podświadomość - nie miało to najmniejszego znaczenia. Ten widok ucieszył Luciena. Szkoda, że nie ma czasu, by dać wyraz swej radości. Musieli jeszcze omówić kilka niecierpiących zwłoki spraw.

Przyglądał się śpiącej dziewczynie, oplatając sobie wokół palca pasmo jej kruczoczarnych włosów. Nawet w tym stanie - z pobrudzoną twarzą i potarganymi włosami - Raine była niespotykana piękna. Szlachetna, pełna godności i uroku, mimo tych wszystkich koszmarnych przeżyć, które stały się ich udziałem. Podziwiał ją jeszcze bardziej niż zwykle.

Nie mógł się powstrzymać - pochylił się i złożył na jej wargach pierwszy tego ranka pocałunek. Raine poruszyła się i zatrzepotała rzesami. Otworzyła oczy i niemal natychmiast otrzą-

sając się ze snu, zaczęła mu się bacznie przyglądać. Odważemnił jej uważne spojrzenie. Patrzyli na siebie tak, jakby chcieli zapamiętać swój obraz na zawsze. Jej oczy miały najbardziej niezwykły odcień opalizującej zieleni.

- Witaj - odezwała się głosem jeszcze zachrypniętym od snu. - Udało ci się pokonać koszmary?

Lucien gwałtownie zamrugał powiekami. Nagle przypomniał sobie sen, który dręczył go pół nocy - o bandzie kumpli goniących bezbronną dziewczynę.

- Musi upłynąć jeszcze sporo czasu, zanim dojdę do siebie - przyznał, nie wspominając o wynikach testu ciążowego, który może mieć kolosalny wpływ na stan jego ducha.

Raine zmarszczyła brwi i spytała ze współczuciem:

- Więc było aż tak źle?

- Oj, to nic strasznego. Sen mara, Bóg wiara - odparł sentencjonalnie.

Pochylił głowę i znów ją pocałował. Ich usta przywarły do siebie, jakby nigdy nie miały się rozłączyć. Ale jeszcze tyle musieli sobie wyjaśnić, a przede wszystkim ustalić, co dalej. Już nawet zamierzał zacząć poważną rozmowę, gdy nagle, niemal nad ich głowami, rozległo się donośne wołanie:

- Halo! Jest tam kto?!

Lucien usiadł. Sięgnął po bieliznę Raine i rzucił ją w jej stronę.

- Ubierajmy się, kochanie. Cicho - szepnął.

Raine nie protestowała.

- Nie dasz im znać, że tu jesteśmy?

- Zaraz.

Otulił ją zabłoconym prześcieradłem, sam opasał się drugim i dopiero wtedy zawołał donośnie:

- Jestem tutaj, Dobey!

- To pan, szefie? - odezwał się głos jego pracownika.

- Tak jakby.
- Dzięki Bogu! Żyje pan!
- Ano żyję. Pomożesz mi się stąd wydostać?
- Już, już. Proszę poczekać, zawołam chłopaków. Wyciągniemy pana, będzie dobrze.

Lucien przyciągnął Raine do siebie.

- Schowaj się. Odprawię chłopaków jak najszybciej; i wrócę po ciebie.

- Ale.

- Raine... - Przerwał. - Już zapomniałaś, jak szybko roznoszą się plotki? Lepiej unikać kłopotów. Ukryj się pod korzeniami drzewa. Może uda nam się wybrnąć z tej sytuacji cało i zdrowo. Z nienaruszoną reputacją.

Raine nie protestowała dłużej, ale Lucien czuł, że usłuchała go niechętnie. Po krótkiej chwili gałęzie nad ich głowami rozsunęły się i w oślepiającym świetle słonecznego poranka ukazała się głowa Dobeya. Na widok Luciena Dobey wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

- Chłopaki, nie uwierzycie! - zawołał przez ramię,

- Przestań się nabijać - burknął Lucien. - Lepiej mnie stąd wyciągnijcie. Podaj mi rękę!

Po minucie Lucien był już na górze, z lubością prostując plecy i swoje nadwyreżone członki. Jeśli szybko uda mu się pozbyć kolegów, Raine już wkrótce będzie mogła cieszyć się taką samą swobodą.

- Niezłą ma pan kieckę, szefie - Dobey wyszczerzył zęby pod bujnym wąsem. - Choć to nie jest pana zwykły styl. A gdzie zapodział pan spodnie?

- Burza je pożarła - odparł Lucien, jednocześnie w zdumieniu rozglądając się po zniszczonej okolicy. Zaklął siarczyście. - To wszystko, co zostało? - zapytał.

- Ta burza to nie były żarty, szefie. Kiedy zobaczyliśmy

ogrom zniszczenia, straciliśmy nadzieję, że pan przeżył. To, czego nie porwała woda, rozwaliło padające drzewo.

Dobey miał rację. Z domku nie zostało nic, prócz resztek jednej ściany wspartej o obalony pień wiązu. Lucien zdał sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie był tak blisko śmierci. I Raine także! Jednak jakimś cudem przeżyli. I to bez większego szwanku!

- Przeprowadziliśmy konie - przerwał jego rozmyślenia inny pracownik. Coś w jego głosie kazało Lucienowi spojrzeć we wskazanym kierunku.

Oto w pobliżu stał Poke, żując trawę z podziwu godnym spokojem, a obok, jakby nigdy nic, pasła się Tickle.

A niech to!

- Wczoraj oba koniki przytruchtały do domu. Nie wie pan, czyja to klacz?

- Nie wiem?

- A może ona ma jakieś pojęcie? - Mężczyzna wskazał w stronę zwałonego drzewa.

Lucien odwrócił się i ujrzał Raine. Stała w swym niezwykłym, skąpym odzieniu z taką godnością, jakby była wystrojoną na koronację leśną królową, a nie ofiarą nieposkromionych żywiołów. Mężczyźni stopniowo poważnieli i spuszczały wzrok. Tylko jeden z młodszych pracowników, chłopak o imieniu Rand, nadal patrzył na nią z wyzywającym uśmiechem.

- Powinien pan coś wiedzieć - szepnął bezczelnie do Luciena, nie spuszczać z Raine zimnego wzroku.

- Wyduś to z siebie, kolego - warknął Lucien. Gość go drażniło w postawie pracownika.

- Nie tutaj. Ona usłyszy.

Owo „ona”, użyte bez należytego szacunku, do reszty rozsierdziło Luciena.

- No, no, tylko bez poufałości - burknął, odciągając pra-

cownika parę metrów dalej i plecami zasłaniając Raine przed jego cynicznym spojrzeniem.

- Ogrodzenie w południowej części rancza zostało przecięte. Jej byk dopadł nasze nowe stado jałówek.

- Kiedy to się stało?

- Wczoraj. Chyba na moment przed burzą. Co mamy z tym zrobić?

- Nic. Ja się tym zajmę - odparł Lucien tonem, który powinien uciąć wszelką dyskusję. Niestety, tak się nie stało.

- Chciałbym zobaczyć, jak sobie z tym radzisz, Kincaid - powiedział Rand, uśmiechając się beczelnie.

- Dla ciebie jestem pan Kincaid. Zrozumiałeś? - rzekł Lucien złowrogo, z trudem opanowując rosnącą wściekłość. - Jeszcze moment, a nie będziesz u mnie pracował. Dobey - spokojniej zwrócił się do pracownika. - Bierz chłopaków i ruszajcie na ranczo oszacować straty po burzy. Dołączę do was, jak tylko znajdę parę spodni.

- Jasne, szefie - zawołał Dobey posłusznie.

Wszyscy dosiedli koni, tylko Rand się wahał.

- Słyszałeś, co mówiłem, kolego? Ruszaj. I przemyśl to, co ci powiedziałem, jeśli chcesz żyć ze mną w zgodzie.

- Tak jest, proszę pana - odparł Rand niechętnie i ruszył za innymi.

Lucien patrzył za pracownikami. Miał niejasne przeczucie, że Rand długo nie zagrzeje u niego miejsca. Dawno już nauczył się ufać swojej intuicji, jeśli chodziło o trzy najważniejsze sprawy w życiu: ludzi, zwierzęta i pokera.

Właśnie miał chwycić stetsona, by cisnąć nim o ziemię, gdy przypomniał sobie, że ulubiony kapelusz, podobnie jak pozostałe części garderoby, padł ofiarą burzy.

- Wczoraj Rosie dostała nową dostawę kapeluszy - usłyszał cichy głos Raine. - Miała takie, jakie lubisz. Po kilku napadach

wściekłości nabierze odpowiedniego kształtu i będzie wyglądał jak stary.

Lucien uśmiechnął się szeroko. To prawda, miał zwyczaj rzucania kapeluszem o ziemię, kiedy się wściekał. Zresztą nie on jeden. Nie raz widział, jak Raine robiła to samo.

- Z pewnością, jeśli mi w tym potowarzysz - zaśmiał się.

Raine mu zawtórowała.

- Fakt, mamy podobne nawyki.

Podszedł do niej. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Nawet teraz Raine wyglądała wspaniale. Jak ona to robiła? Żałował tylko, że jego pracownicy mogli oglądać to cudowne zjawisko.

Chrząknął.

- Dlaczego wyszłaś z kryjówki? Przecież mówiłem ci, żebyś się nie ruszała.

- Mówiłeś, ale to wcale nie znaczy, że muszę cię słuchać.

- Wzruszyła ramionami. - Zresztą, dalsze ukrywanie się nie miało sensu, skoro twoi chłopcy przyprowadzili Tickle.

- Skąd wiedziałaś, że Tickle tu jest?

- Trudno to wytłumaczyć. Po prostu ją wyczułam.

Ktoś, kto nie znał Raine, skwitowałby jej słowa ironicznym uśmiechem. Jednak Lucien zbyt często widywał dowody niezwykłego daru Raine, by w niego wątpić.

- Chyba masz rację. To by rzeczywiście nie miało sensu - przyznał.

Cóż. Jakoś sobie poradzą z plotkami, które wkrótce z pewnością wybuchną i rozniosą się szybko po całej okolicy. Niech tylko ktoś odważy się powiedzieć coś nieprzyzwoitego na temat Raine, a będzie miał z nim do czynienia! Tak jak przed dziesięcioma laty, pozna siłę jego pięści.

A teraz pora na drugą, niecierpiącą zwłoki sprawę. Tyle że to już nie będzie tak przyjemnie proste, zważywszy na upór

Raine. Zacisnął pięści. Jednak jakoś musi dopiąć swego. Nie ma innego wyjścia.

- Chyba nadeszła pora, byśmy zdecydowali, co dalej - zaczął na pozór lekkim tonem.

- Co masz na myśli?

Więc nie obejdzie się bez gierek wstępnych. Niech i tak będzie.

- Chyba uszło to twojej uwagi, najdroższa, więc przypomnę ci, że dziś w nocy nasze stosunki uległy zmianie.

Nagle Raine poczuła, że nie ma wyboru. Znowu ogarnęły ją ponure myśli, które już wcześniej, w nocy, dawały o sobie znać. I tak nie ma wpływu na bieg wydarzeń. Poczowała ucisk w gardle.

- Dlatego, że uprawialiśmy seks? - zapytała zaczepnie.

Lucien aż podskoczył.

- To nie był seks, do jasnej anielki! - Że też nie miał pod ręką swojego nowego kapelusza! Ta jedna rozmowa wystarczyłaby, żeby nadać mu właściwy kształt. - Chyba widzisz różnicę między przypadkowym seksem a tym, co wydarzyło się między nami tej nocy? Czy byłem dla ciebie jednym z tych kolesiów, co to zaspokajają swoją chuć, ale zapominają nawet ściągnąć buty?

Nagle jej gardło rozluźniło się. Zaśmiała się cicho.

- A więc to tak uprawiasz seks, Kincaid? W butach?

- To zależy od kobiety - mruknął Lucien, czując, że ta rozmowa niezupełnie idzie po jego myśli. Kto do tego dopuścił? - Ale niech zgadnę - ciągnął dalej, jakby wbrew własnej woli. - Twoi kochankowie ściągają buty?

- I kapelusze też.

- Dziwi mnie, że Nanna ci na to pozwala.

- Ostatnim razem, kiedy przydarzyło mi się coś takiego, palnęła mi niezłe kazanko. Obawiam się, że tym razem też mnie to czeka - odparła Raine ze stoickim spokojem.

Dopiero po dłuższej chwili Lucien w pełni pojął sens jej słów.

- Ty nie... Tylko dwa razy? - Patrzył na nią kompletnie zaskoczony. - To znaczy, że kochałaś się tylko ze mną?

Raine z dezaprobatą pokręciła głową.

- Ty za to nie tracisz czasu, co, Kincaid?

Lucien złapał się za głowę.

- A skąd miałem wiedzieć, Raine? Masz trzydzieści lat. Jesteś piękna. Myślałem, że... - Urwał, by nie pograżać się jeszcze bardziej.

Raine skrzyżowała ramiona na piersi. Ten samoobronny gest obnażył jej bezradność. Lucien musiał zmobilizować wszystkie siły, by nie porwać jej w ramiona. Wiedział jednak, że w jej obecnym nastroju byłby to z jego strony nierozważny krok. Milczał więc, dając jej czas na zastanowienie.

- Może przypominasz sobie, że ostatnim razem, kiedy tu byliśmy, sprawy nie potoczyły się najlepiej. Byłam dzieciakiem, bez rodziców, za to z ranczem na głowie. Nie miałam więc wiele czasu na - wzruszyła ramionami - odwiedzanie chatek w wiadomych celach.

Lucien odchrząknął.

- Gdybyś miała porównanie... - Urwał, wiedziony nieomylnym instynktem, że to, co chciał powiedzieć, tylko go pograży. Do licha! Jak skończyć tę idiotyczną rozmowę?

- Tak? - Raine wyczekująco zawiesiła głos.

- Może wówczas doceniłabyś to, co nas łączy - dokończył z wysiłkiem. - Ty ze mnie kpisz, prawda?

- Odrobinę - przyznała Raine z błyskiem w oku.

Lucien miał niejasne przeczucie, że gdyby po pierwsze - lepiej się wyspał, po drugie - wlał w siebie kilka litrów kawy, po trzecie - okrywało go coś bardziej męskiego niż zmięte, brudne prześcieradło, a po czwarte - gdyby tak nie szalały w nim hor-

mony - może wówczas ta rozmowa miałaby nieco większe szanse powodzenia.

W dodatku Raine wyglądała tak kusząco w tej ubłoconej szmacie! A on nie potrafił zapomnieć, że pod tym łachmanem kryje się najbardziej seksowna bielizna świata!

Potrząsnął głową, usiłując przywołać do porządku choć jedną szarą komórkę swego zmęczonego, niedospanego mózgu. Zebrał się w sobie i patrząc Raine prosto w oczy, spytał:

- Spróbujmy sformułować pewne wnioski. Czy chcesz powiedzieć, że mamy zachowywać się tak, jakby ostatnia noc w ogóle się nie wydarzyła?

- Tak.

Podejrzewał, że właśnie taka będzie decyzja Raine. Jednak gdy jego przypuszczenia się potwierdziły, zrobiło mu się niewymownie smutno.

- Postąpisz tak jak poprzednio? - spytał cicho. A gdy nie odpowiadała, wychrypiął: - Do licha ciężkiego! Wiem, że miałaś pecha ostatnim razem. To, co stało się z Papsem, to był potworny wypadek! Próbowałem pomóc. Przysięgam, że robiłem, co tylko w mojej mocy. Ale w czasie tych kilku tygodni, zanim Nanna wysłała cię na uniwersytet, nie pozwalałaś mi zbliżyć się do siebie na odległość kilometra! O ile pamiętam, kiedy udało mi się wreszcie do ciebie podejść, wycelowałaś we mnie strzelbę. Mało tego! Odstrzeliłaś mi czubek buta! W dodatku to była moja najlepsza para.

Raine lekko uniosła brodę.

- Paps był dla mnie wszystkim. Nie obchodzi mnie, czy zdarzył się wypadek, czy nie. Dziadek stracił życie przez jakieś idiotyczne spory o ziemię. Muszę z tym skończyć! Nie chcę do tego wracać! Nie rozumiesz? I wtedy, i teraz związek z tobą nie wchodzi w ogóle w rachubę. A ponieważ nie potrafiłeś jakoś tego zrozumieć, strzeliłam do ciebie, żeby dobitnie ci to wyjaśnić.

- Dobitniej nie mogłaś. Tylko nie próbuj tego powtarzać. Tym razem nie ujdzie ci to na sucho. Niech nikt nie waży się wycelować we mnie strzelbę po raz drugi! Mogłem darować tylko raz. Po wypadku z Papsem spodziewałem się raczej, że będziesz miała więcej wyobraźni.

Raine zaczerwieniła się lekko. Lucien nie był pewien, czy powodował ją gniew, czy zmieszanie.

- Być może poczujesz się trochę lepiej, kiedy powiem ci, że Nanna omal nie obdarła mnie żywcem ze skóry, kiedy się dowiedziała. W dodatku zaciągnęła mnie do szeryfa Tilsona, który pastwił się nade mną przez kilka godzin. Wiesz, jak nie znoszę jego kazań.

Na moment uśmiech rozjaśnił ponurą dotąd twarz Luciena.

- Zawsze miałem słabość do Nanny.

- Ale dość o strzelbach. Miałam jeszcze inne powody, by ci nie ufać - ciągnęła Raine z właściwym sobie uporem.

Z pewnością!

- Tak?

- Zbyt dużo gadasz, Kincaid. Nikt nie powinien wiedzieć, że uprawialiśmy seks. Ty jednak musiałeś dopilnować, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli.

- Po pierwsze, przestań nazywać to seksem! Robisz to celowo, żeby mnie wkurzyć!

- A więc to działa?

- Czy para, która dobywa się z moich uszu, i piana na ustach nie są wystarczającym dowodem? Po drugie - ciągnął ze śmiertelną powagą - po raz kolejny podczas ostatniej doby oskarżasz mnie o szerzenie plotek o tym, co się stało. Że się kochaliśmy tamtej nocy - powiedział dobitnie. - Powtarzam po raz ostatni. Nigdy nikomu nie powiedziałem ani słowa. Nigdy. Zrozumiano?

- Jakimś cudem ludzie się dowiedzieli. Nie ode mnie. Zostajesz tylko ty.

W jej rozumowaniu tkwił jeden podstawowy błąd. Jeszcze kilka osób poza nimi znało prawdę. Przede wszystkim jego dziadkowie. I jej. Ale tego nie mógł jej powiedzieć. Musiałby wtedy wyznać wszystko. A nie zamierzał przysparzać jej kolejnych cierpień.

- Wiem jedno. Ja nikomu nie powiedziałem ani słowa.
- Więc jakim cudem ludzie się dowiedzieli?

Pokręcił głową, zagryzając wargi. Cóż, nie może się bronić. Raine skinęła znacząco głową i ponuro odwróciła się do Tickle.

- Właśnie tak myślałam. Mam jeszcze tylko jedno pytanie.
- Strzelaj. Oczywiście, metaforycznie - powiedział Lucien

z kwaśnym uśmiechem.

- Co ci mówił ten chłopak?

- Jaki chłopak?

- Nie igraj ze mną, Kincaid. Ten nowy. Powiedział coś, co ci się nie spodobało.

Lucien zaklął pod nosem. Czemu ona ciągle powtarza jego nazwisko? Żeby nie miał złudzeń, że wszystko między nimi wróciło do normy? Już zaczęła odbudowywać mur, który dzielił ich od lat, chociaż ostatniej nocy zrobili w nim potężny wyłom. Bezradnie pokręcił głową.

- Chyba mieliśmy mały wypadek.

Raine zeszywniała.

- Coś z Nanną?

- Nie, nie - uspokoił ją pospiesznie. - Z Nanną wszystko w porządku.

- Więc o co chodzi?

Szkoda, że nie dała mu czasu, by dopełnił owych czterech warunków koniecznych do przeprowadzenia skutecznej rozmowy. Że też ten temat musiał wypłynąć właśnie teraz. Westchnął. Nagle poczuł się strasznie zmęczony. Raine patrzyła na niego wyczekująco.

- Ktoś zniszczył ogrodzenie między naszymi ranczami.
- Gdzie? - spytała z napięciem.
- Przy południowej granicy mojego terenu.

Uśmiechnęła się kwaśno.

- Na spornej ziemi.
- Ta ziemia nie jest sporna. - Lucien nie mógł się powstrzymać, by nie zaprotestować. - Należy do Kincaidów. W dodatku twój byk dopadł moje jałówki, które sprowadziłem w ubiegłym miesiącu.

- Jesteś pewien, że drut został przecięty? Że to nie stało się w czasie burzy?

Albo nie miała zielonego pojęcia o tym, co się stało, albo była wytrawną kłamczucha.

- Powiedz mi coś, Featherstone. Dlaczego umieściłaś swego byka akurat na tym pastwisku?

W zielonych oczach Raine zamigotał gniew.

- Czyżbyś mnie o coś oskarżała?
- Nie, wcale nie miałem takiego zamiaru. Po prostu przeniósłaś go tam, jak tylko umieściłem na moim pastwisku nowiotkie jałówki.

- Więc?

- Ktoś zrujnował mój cały plan hodowli. Po prostu chcę wiedzieć, kto to był.

- Myślisz, że ktoś specjalnie przeciął ten drut?
- Dopóki nie obejrzę dokładnie ogrodzenia, niczego nie mogę być pewien. Ale rzeczywiście, tak sędzę.

- Powiem ci tylko, że ten pas ziemi, który ukradłeś Nannie, łączy nasze pastwiska. Pasłam tam moje bydło od wieków. Dopiero kiedy odciąłeś mi dostęp do rzeki i zamieniłeś tę ziemię w jałowy ugór, byłam zmuszona z tego zrezygnować. Umieściłam tam tylko mojego kochanego Bulleta, żeby nie robił szkody. Zresztą, jest już tak stary, że z pewnością nie miał szansy za-

płodnić nawet jednej twojej jałówki. Zadowolony? - Raine spojrzała na wyzywająco.

Bynajmniej. Nie czuje zadowolenia, dokąd Raine będzie uważała go za swego wroga numer jeden. Postanowił to jednak przemilczeć.

- Powiedzmy, że tak.

Raine odwróciła się na pięcie i podeszła do cierpliwie czekającej na nią Tickle. Bez najmniejszego skrepowania zakasała poły prześcieradła, ukazując nieskończoną długość kształtnych nóg, chwyciła cugle, po czym zgrabnym, pełnym gracji ruchem dosiadła konia. Lucien pamiętał, jak razem uczyli się tego płynnego ruchu, gdy byli nastolatkami. Siedziała tak wyprostowana, patrząc przez chwilę Lucienowi prosto w oczy. Krew jej przodków chyba po raz pierwszy w czasie ostatniej doby tak jasno dała o sobie znać. Dumnie uniesiona broda i chłodne oczy podkreślały jej siłę charakteru, dumę, upór i determinację. Aż trudno byłoby uwierzyć, że ta sama kobieta jeszcze tak niedawno uległa namiętności.

- To nie ja pocięłam drut dzielący nasze ziemie. Ale to nie potrwa długo, Kincaid. Kiedy tylko znajdę list Nanny, a wydobędę go choćby spod ziemi, zamierzam odzyskać swoją własność. A wtedy obalę ten płot i potnę drut kolczasty na drobne kawałeczki. Masz moje słowo.

Nawet nie czekała na odpowiedź. Wystarczył cichy rozkaz, by Tickle ruszyła galopem. Po chwili Lucien nie widział już nic prócz łopoczącego na wietrze prześcieradła. A i ono zniknęło po kilku sekundach.

Westchnął ciężko i oparł się o Poke'a.

- Poszło zupełnie nieźle, nie sądzisz?

Koń wolno zwrócił łeb w stronę pana i prychnął. Było oczywiste, czyją trzyma stronę.

- Hej! Mogło być jeszcze gorzej. Na przykład Raine mogła

przytroczyć ciebie do Tickle i odjechać co koń wyskoczy. Musiałbym wtedy drałować do domu na piechotę w tym mało męskim przebraniu.

Poke parsknął cicho, co zabrzmiało niemal jak chichot.

Lucien odwrócił się do konia i zawołał z oburzeniem:

- Co? Sam byś poszedł? Nie musiałyby cię przytraczać? To taki z ciebie przyjaciel, ty zdrajco?!

Poke wyszczerzył zęby i to starczyło Lucienowi za całą odpowiedź.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Raine zaraz zejdzie na dół - powiedziała Nanna i długim krokiem, tak uderzająco przypominającym chód jej wnuczki, podeszła do piecyka w rogu kuchni. Energicznie zamieszała zawartość ogromnego gara, z którego dobywały się niezwykle smakowite zapachy. Woń cynamonu i goździków przywodziła na myśl wszystko, co kojarzy się z domowym zaciszem. - Wróciła jakąś godzinę temu i od tamtej pory nie wychodzi z łazienki.

- Przykro mi, Nanno - odezwał się Shadoe skruszonym tonem. - Nie zamierzałem ich narażać. Gdybym wiedział, że rozpęta się taka burza...

- Ta burza tylko ułatwiła to, co i tak było nieuchronne - odwróciła się ku niemu Nanna i uśmiechnęła się blado. - W każdym razie Raine wróciła nieubrana. A przynajmniej nie zanadto okryta.

Shadoe uniósł brwi.

- A to ciekawe. Co się stało?

- Chyba jedyna rzecz, jaka może zająć między kobietą i mężczyzną, zanim wrócą do domu prawie nadzy. Po wspólnie spędzonej nocy.

Shadoe roześmiał się.

- Miałem na myśli ich ubrania.

Nanna odwróciła się do piecyka.

- Porwała je wichura.

- To dopiero musiała być nawałnica. - Shadoc oparł się łokciami o stół i dodał z niejakim żalem: - Zdaje sobie pani sprawę, że na tym kończy się ingerencja Klubu Samotnych Serc?

Nanna lekko pochyliła głowę.

- Owszem, pamiętam warunki naszej umowy. I modłę się, by to wystarczyło. Teraz już wszystko w rękach Opatrzności. No i tych dwojga uparciuchów.

- W porządku. Więc na tym kończy się moje zadanie.

- A cóż to za zadanie? - Raine wkroczyła do kuchni i usłyszała ostatnie słowa. Jej czarne włosy, splecione w długie warkocze, lśniły jeszcze od wody. Tuż obok, przy nodze dziewczyny, dreptał Pies, piękny czarno-biały collie, który patrzył na przybysza z mieszaniną zainteresowania i oburzenia - gotowy w każdej chwili bronić swej pani. - Pozwól, że zgadnę, Shadoc, ty draniu! - dodała Raine nieco mniej przyjaznym tonem. Pies również się zjeżył.

- Raine! Co to za język! - upomniała ją Nanna.

Shadoc wstał.

- Witaj, Raine. Miło cię widzieć.

Dziewczyna zatrzymała się na środku kuchni i spojrzała groźnie. Wierny Pies zrobił do samo.

- Winien mi jesteś wyjaśnienie. Czy jesteś w jakikolwiek sposób zamieszany we wczorajsze wydarzenia? Tak czy nie?

Pies zerknął na swoją panią i poparł jej pytanie cichym warknięciem.

- Do pewnego stopnia tak - przyznał Shadoc.

Jego wyznanie potwierdziło podejrzenia dziewczyny, których nabrała, gdy wpadłszy do domu, odkryła, kto odwiedził Nannę. Przecież Shadoc był najważniejszym Prowokatorem Klubu Samotnych Serc, mającym znaczny udział w sprawie Tess i Emmy. W jakim innym celu mógłby przyjechać na rancho? Teraz miała już pewność, co jeszcze bardziej ją rozżłościło.

- A więc to ty wysłałeś do Luciena sfałszowany list z moim podpisem?

- Nie będę się wypierał.

- I to ty napisałeś do mnie, podszywając się pod Luciena.

- Tak.

- Do licha ciężkiego! Może raczysz mi wytłumaczyć, co ty sobie w ogóle myślałeś? - Raine zaczęła nerwowo przemierzać kuchnię w tę i z powrotem. Pies w radosnych podskokach wyprzedzał swą panią o pół kroku, ciesząc się, że może na coś się przydać. - Czy zdajesz sobie sprawę, jak nas naraziłeś?

- Bardzo mi przykro, ale skąd mogłem wiedzieć, że będzie burza? Gdybym wiedział, wstrzymałbym się z wysyłaniem listów dzień czy dwa.

Raine odwróciła się gwałtownie w jego stronę, przy czym omal nie nadepnęła na zaskoczzonego Psa.

- Rany boskie, Pies! Siad! - Collie natychmiast usiadł posłusznie tuż przy nodze gościa, groźnie szczerząc kły. - Chcesz powiedzieć, że nie zastawiłeś na nas pułapki w chatce pasterkiej? Jak było?

Shadoc zawahał się, próbując odsunąć się od połyskujących niezbyt przyjaźnie kłów Psa. Z mizernym jednak efektem, bo collie tkwił przy nim jakby przyklejony.

- Ja miałbym na was zastawić pułapkę? Skąd! Chciałem tylko ułatwić wam spotkanie sam na sam. Oczywiście, pod warunkiem, że sami sobie tego życzyście.

- Lucien i ja pogardzamy sobą.

Pies gwałtownie zamknął pysk i obejrzał się na swą panią z tak bezgranicznym zdumieniem w ślepiach, że Raine zaczerwieniła się mimo woli. Bezmyślne zwierzę! Niepotrzebnie opowiedziała mu o wydarzeniach ostatniej nocy. Nigdy nie potrafił dochować tajemnicy, choćby nie wiem jak nalegała. A teraz - co za wpadka! - Nanna i Shadoc przyglądają się jej bacznie. Jedy-

na nadzieja w tym, że nie zauważyli purpury na jej policzkach. Musi jakoś wyprostować fakty.

- Skąd przypuszczenie, że chcielibyśmy zrobić z Lucieniem coś innego niż sprawić sobie nawzajem kocówę?

- A więc to robiliście wczoraj? - Shadoc zerknął na Psa i też się zdziwił. - Sprawiliście sobie kocówę?

Policzki Raine spurpurowiały jeszcze bardziej.

- Zdołaliśmy się powstrzymać. - Raine udała, że nie słyszy kpiącego powarkiwania Psa. Parszywy kundel. Ostatnio stanowczo robi się niemożliwy. - Choć kosztowało nas to wiele trudu.

- Co za ulga! - Nanna odwróciła się od piecyka. Nawet nie próbowała ukryć rozbawienia, więc z pewnością reakcja Psa nie umknęła jej uwagi. - Musiałabym zmienić zdanie o Lucieniu, gdyby nie miał lepszego pomysłu niż walka z tobą.

- Coś mi mówi, że jesteś w to zamieszana! - zniecka zaatakowała Nannę Raine.

- Owszem.

- A więc zwróciłaś się do Klubu Samotnych Serc?

Nanna skinęła głową.

- Dlaczego? Po co?

Nanna uśmiechnęła się smutno.

- Wiesz, dlaczego. Nie dajemy sobie same rady. Mamy długi. W ciągu ostatnich lat musiałyśmy zwolnić połowę pracowników. Radzimy sobie z coraz większym trudem, a ja już nie długo nie będę ci do niczego przydatna.

Raine jednym susem znalazła się przy niej.

- Zabraniam ci tak mówić! - zawołała i mocno objęła babcię. Pies natychmiast doskoczył do nich, rozdając na lewo i prawo czułe liźnięcia. - Jesteś moją największą podporą.

Nanna pokręciła głową.

- Nie, nie. Ty potrzebujesz znacznie więcej, niż ja mogę ci dać, skarbie. Nasze kłopoty będą coraz poważniejsze. Martwię

się o ciebie. O twoją przyszłość. - Ujęła twarz Raine w dłonie. - Przypomnij sobie, co działo się ostatnio. Twoje dwie najlepsze przyjaciółki wyszły za mąż. A ty nie mogłaś nawet zostać do końca przyjęcia. Z trudem wyrwałaś się na uroczystości ślubne. Twoje życie to nieustanny trud, ciągła praca na ranczu. A przecież powinnaś normalnie żyć! Chcę, żebyś była szczęśliwa. Żebyś wyszła za mąż, założyła rodzinę. Słowem, chcę, żebyś się ustatkowała.

- Ty jesteś moją rodziną, babciu. Nie potrzebuję nikogo więcej. Mężczyzna nie zagwarantuje mi szczęścia. Przecież jesteśmy szczęśliwe razem.

Nanna czule poklepała Raine po policzku.

- Nie przeczę, kochanie. Dobrze nam razem. Ale dla ciebie to nie jest pełnia szczęścia. Czy myślisz, że nie czuję, że potrzebujesz i pragniesz czegoś więcej?

Te słowa uderzyły chyba w słaby punkt Raine, bo wyrwała się z objęć Nanny i znów zaczęła przemierzać kuchnię długimi, nerwowymi krokami. Gdyby tylko równie łatwo mogła wywinąć się od tej kłopotliwej dyskusji!

- Czy sądzisz, że osoba, której pragnę, jest właśnie Lucien? - Przystanęła i spojrzała na babcię. - Jak mogłaś wybaczyć mu to, co zrobił Papsowi? Jak mogłabyś przyjąć go po tym wszystkim do naszej rodziny?

- To był wypadek, Raine. Potworna tragedia. Lucien zrobiłby wszystko, żeby odwrócić bieg zdarzeń albo przynajmniej coś, co byłoby zadośćuczynieniem. - W oczach Nanny załśniły łzy.

- Czy kiedykolwiek pomyślałaś, że wynik tamtej potyczki mógł być odwrotny? Że mógł zginąć Lucien? Czy wybaczyłabyś wtedy Papsowi?

- Oczywiście - odparła Raine spontanicznie. Zamknęła oczy. Tak, Nanna miała rację. Z pewnością wybaczyłaby dziadkowi. Na pewno.

- Już czas wybaczyć Lucienowi, gołąbeczko. Czas zacząć żyć terazniejszością, dla przyszłości. Zauważyłam, że przyglądasz się samotnym mężczyznom w miasteczku. Pewnie porównujesz ich do Luciena. Ale jemu nikt nie dorówna, skarbie.

- Naprawdę tak myślisz?

Twarz Nanny rozjaśnił uśmiech.

- Marzysz o młodym Kincaidzie, od kiedy jako dziecko pierwszy raz na niego spojrzałaś. A on nie potrafił utrzymać rąk przy sobie, gdy tylko odkrył, że należysz do płci pięknej i dowiedział się, co to znaczy.

Raine smutno pokręciła głową.

- To wszystko jeszcze za mało, by myśleć o małżeństwie.

- Zwróciła się do Shadoe'a: - Bo pewnie o to wam chodzi? Mam rację?

- Tak, to zawsze jest nasz ostateczny cel - przyznał Shadoe.

- A więc przykro mi, ale muszę was rozczarować. W tym wypadku do małżeństwa nie dojdzie.

- Och, nie wykluczałbym tego tak pochopnie.

Nagle Raine poczuła, że jeszcze moment, a wybuchnie niepohamowanym płaczem. To pewnie z przemęczenia. Nieprzespana noc daje o sobie znać. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że samo słowo „małżeństwo” zabrzmiało w jej uszach jak słodka, najbardziej pożądana obietnica? Musi wziąć się w garść, nim Shadoe i Nanna zaczną coś podejrzewać.

- Powtarzam - powiedziała najdobitniej, jak potrafiła. - Lucien i ja nie pobierzemy się. Nigdy. Nie ma mowy. On jest okropny. To oszust i kłamca. Naprawdę chcielibyście połączyć mnie z kimś takim?

Shadoe pokręcił głową.

- Rzeczywiście. Jeśli tak na to patrzysz, zaczynam się wahać.

- I słusznie. A ty, babciu? - zwróciła się do Nanny. - Nadal chcesz bawić się w swatkę?

- Wyjdiesz za Luciena, gołąbeczko. To nieuniknione.

Raine potrafiła rozmawiać ze zwierzętami, ale w rodzinie Featherstonów nie tylko ona posiadała jakiś cudowny, niezwykły dar. Nanna potrafiła przewidywać przyszłość. Po prostu „wiedziała”. Nikt nie śmiał z nią dyskutować, kiedy stwierdzała coś swoim wszytkowiedzącym, autorytatywnym tonem.

- Ale on nie chce się ze mną ożenić - oponowała Raine. - A nawet gdyby do tego doszło, jakim bylibyśmy małżeństwem? Wolę nie myśleć!

- Nic się nie martw. Będzie OK.

- Więc po co zwracałaś się do Klubu? Jeśli to nasze przeznaczenie, to czemu ktoś musi nam pomagać? - zdenerwowała się Raine.

- Bo ty i Lucien jesteście parą upartych osłów. Przepuszczacie każdą sprzyjającą okazję. - Nanna splotła ramiona na piersi. Wyglądała jak posąg, budzący respekt i wymuszający posłuszeństwo. - Najwyższa pora, by stworzyć wam taką okazję, której nie będziecie mogli zmarnować.

- Wspaniale. A gdzie tu miejsce na wolną wolę?

Nanna nie spuściła wzroku pod oskarżycielskim spojrzeniem wnuczki.

- Mielicie czas na samowolę. Całe trzydzieści lat. Teraz musicie za to zapłacić.

- Nawet gdybyś miała prawo manipulować moją przyszłością, nie masz prawa wtrącać się w życie Luciena. Pomyślałaś o tym?

- O jego przyszłość się nie boję. Jeśli będziesz z nim, czeka go raj. Jednak gdy zdecydujesz inaczej, zamienisz jego życie w piekło.

Raine wpatrywała się w podłogę i rozważała słowa Nanny. Ostatnia noc była niebiańskim przeżyciem. Nie ma co do tego wątpliwości. Ale wraz z pierwszymi promieniami słońca, gdy

obojgu wrócił rozum, niebo się skończyło. Czy Nanna tego nie rozumie? Nie są sobie przeznaczeni. Ich zbliżenia zawsze kończyły się jakąś katastrofą, tragedią. Wszystko ich dzieliło, nie wspominając już o spornej ziemi. I tak już zostanie. Cóż z tego, że dwa razy przeżyli razem coś niezwykłego. Przeciwności czasem się przyciągają, co daje nawet dość interesujący efekt. Ale najbardziej naturalnym stanem jest walka.

Lucien Kincaid to uzurpator. Zagarnął jej niewinność, zniszczył reputację, uśmiercił ukochanego dziadka, a na koniec odebrał ziemię. Jedyne, czego nie udało mu się zabrać - a przynajmniej co udało jej się odzyskać - to serce. I postanowiła zachować je już tylko dla siebie. Wprawdzie ostatnią noc spędziła w swoich ramionach, ale wystarczyło jedno słowo jakiegoś prymitywnego robotnika, by wszystko znów legło w gruzach. Powrócą plotki, publiczne babranie się w ich życiu. Nie! Nic z tego nie będzie. A już na pewno nie małżeństwo.

Raine spojrzała na Nannę z determinacją w oczach.

- Mylisz się, babciu. Małżeństwo z Lucieniem Kincaidem jest wykluczone. Niepotrzebnie się w to mieszałaś - oświadczyła i zwróciła się do Shadoe'a, a Pies wyszczerzył zębiska; - A tobie, Shadoe, radzę, byś zniknął stąd przed moim powrotem. Niech wasz wspaniały Klub poszuka sobie innej ofiary.

Raine poszła szybkim krokiem do stajni. Oczywiście Pies nie pozostawał w tyle. Osiedłała Tickle i cała trójka ruszyła w stronę północnej części rancza, która sąsiadowała z południowym pastwiskiem Kincaidów. Raine postanowiła przyjrzeć się ogrodzeniu i sprawdzić, co dzieje się ze starym Buletem. Poza tym, pragnęła odpocząć i zebrać myśli po ostatnich burzliwych wydarzeniach.

Cieszyła się, że towarzyszą jej ulubione zwierzęta. Zawsze uważała, że w zwierzakach jest coś kojącego. Ich potrzeby

i uczucia były proste i zrozumiałe. Nawet koty umiała rozgryźć. Może dlatego, że były przekorne, jak ona. Popychane w jedną stronę, zawsze szły w przeciwną, zostawiając za sobą ślady zadrapań na pamiętkę. Ona też tak postępowała. Psy za jedno życzliwe słowo oddałyby swoją najlepszą kość, podczas gdy koty kierowały się zawsze tylko i wyłącznie własną wygodą, za nic mając dobro bliźniego.

Pokonawszy ostatni rów, Raine i jej kłacz znalazły się tuż koło spornej ziemi. Błyszcząca wstęga rzeki wiła się wśród pól, znacząc granicę między ranczami. Niegdyś stada Featherstonów mogły korzystać z hojnej obfitości jej wód. Teraz jednak druty kolczaste odgradzały rzekę od rancza Raine, musiała więc wiercić studnie, by napoić swe bydło.

Raine okrążyła rozłożysty platan, w którego cieniu odpoczywał zazwyczaj stary byk. Niestety, nie znalazła tam Bułleta. Zagwizdała jego ulubioną melodię. Zwykle w ten sposób przywoływała zwierzę, ale dziś odpowiedziała jej cisza. Postanowiła wysłać jednego z pracowników, by sprawdził, co stało się z jej ulubieńcem. Miała nadzieję, że byk nie zagalopował się na ranczo Kincaidów. Nie zostaliby tam potraktowany zbyt łagodnie.

Nagle zauważyła Luciena, kłęczącego przy płocie od strony rzeki. Gdy podjechała, podniósł głowę i na powitanie zsunął swój najlepszy kapelusz firmy Stetson z czoła. Zauważyła, że na nogach miał odświeżone buty. Ale się wystroił!

Pies z radosnym szczekaniem dopadł w podskokach do Luciena i zaczął go żywiołowo oblizywać. Lucien cierpliwie znosił przejawy psiej czułości, podczas gdy Raine z obrzydzeniem patrzyła na zdradzieckie zachowanie swojego pupila. Najwyraźniej żadnemu samcowi nic nie zastąpi męskiego towarzystwa.

- Co słyhać? - spytała ostro, choć wiedziała, że to przecież nie wina Luciena, że Pies niezbyt trafnie ocenia ludzkie charaktery. - Czy to Bullet zerwał ogrodzenie? - dodała łagodniej.

- Ogrodzenie było dość mocno nadwyrężone, zanim ktoś je poprzecinał.

- Dziwne. Jak to się stało?

- Jeszcze nie wiem. Ale się dowiem.

Lucien wydał się jej dziwnie ponury. Spojrzała w stronę jego stada, pasącego się spokojnie nieopodal.

- A jak tam twoje jałówki?

- Jakoś sobie z nimi poradzę.

Musiała przyznać, że Lucien miał dar do ucinania dyskusji, która nie była mu na rękę. Przyjrzała mu się, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Nagle przed oczyma stanęła jej poprzednia noc. Zrobiło jej się gorąco i czym prędzej naciągnęła kapelusz na czoło. Spod szerokiego randa widziała zaledwie stopy Luciena. To dobrze. Zresztą musi objechać jeszcze swoje ranezo, by zbadać, jakie straty poczyniła burza. Jednak zanim odjedzie, powie Lucienowi o swoim ostatnim odkryciu.

- Chcę ci o czymś powiedzieć - zaczęła niepewnie.

- Pozwól, że zgadnę - przerwał Lucien. - Odkryłaś, kto napisał listy?

- Tak. Nanna zwróciła się do tego Klubu Samotnych Serc - wyznała z trudem.

- Ach tak? - Jego usta ułożyły się w ciepły uśmiech. - Wścibska staruszka!

- Jakoś się nie wściekasz. Ani nawet nie dziwisz...

- Bo tylko Nanna mogłaby zrobić coś tak durnego - zaśmiał się Lucien.

- Uważasz, że moja babcia jest durna? - zaperzyła się Raine.

- O nie, bynajmniej. Tylko czasami zachowuje się niesamowicie naiwnie - odparł Lucien, odważnie patrząc dziewczynie w oczy.

Wstał wolno. Klucząc między dwoma rzędami drutu i nie zważając na to, że kolce rozdierają mu koszulę - zresztą tak

właśnie się dzieje, kiedy człowiek przekracza granice, których przekroczyć nie powinien - podszedł do Raine. Pomógł jej zsiąść z konia, nie pytając wcale, czy ma na to ochotę. Pies nawet nie usiłował udawać, że broni swojej pani. W szaleńczych podskokach obtańcowywał Luciena, radośnie merdając ogonem. A Tickle sprawiała wrażenie, jakby uśmiechała się szeroko, dając mu swoje pełne poparcie.

- Tak jest lepiej -. rzekł Lucien. - Teraz może powiesz mi wreszcie, o co tak się wściekasz?

- Nie lubię, kiedy ktoś wtrąca się w moje sprawy - odburknęła Raine.

- Chyba zapominasz, że to nie ja pociągam za sznurki. W dodatku rzecz niby dotyczy ciebie, ale przy tej okazji ktoś i mnie potraktował jak marionetkę.

Rzeczywiście tak było, choć ta konstatacja nie zmieniała spraw ani na jotę. Ktoś się wtrącał w ich życie i usiłował wpłynąć na ich decyzje, co nie znalazło uznania w oczach Raine. Zresztą, o ile znała Luciena, jemu także ta sytuacja nie przypadła zapewne do gustu, Raine zawsze podziwiała jego siłę charakteru i samodzielność w podejmowaniu decyzji. Zatem może warto wszystko spokojnie przedyskutować?

- Powiedz szczerze, Kincaid, czy myślisz, że to ja zniszczyłam twoje ogrodzenie?

- Nie.

Aż zamrugwała oczami ze zdziwienia.

- Jak to?

- Nie wierzę w to, bo nie jesteś mściwą babą. Wredną, być może, ale nie mściwą. - Uśmiechnął się blado i podszedł do zniszczonego ogrodzenia. - Wygląda na to, że drut już wcześniej był dość pokancerowany. Mój pracownik musiał mieć ciężkie życie z naprawami w tym miejscu.

Raine podeszła do niego i uklękła obok.

- Możliwe. Bullet uwielbia płać się w wodzie, a jeśli przy okazji mógł sobie pobrykać z jakąś wesołą krowką, pewnie nic nie zdołało go powstrzymać. - Raine zmarszczyła brwi. - Ale dlaczego twój pracownik miałby przecinać drut? Tego już nie rozumiem.

- Mogło być tak: mój pracownik zobaczył, że zbliża się burza, więc postanowił zaczekać z naprawą ogrodzenia do następnego dnia. To dało twojemu Bulletowi okazję, by wykorzystać seksualnie moje jałówki. Kiedy pracownik zdał sobie sprawę ze szkody, postanowił pociąć drut, żeby wina spadła na twojego człowieka. Żeby można mu było zarzucić naruszenie mojej własności. Zgadzasz się?

- Brzmi sensownie, ale jak chcesz to udowodnić?

- To już mój problem.

- I znów robisz to samo! Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jakie to irytujące, kiedy ucinasz dyskusję.

Lucien spojrzał jej w oczy w taki sposób, że najchętniej rzuciłaby się ponownie w jego ramiona. Odwróciła wzrok i czym prędzej odsunęła się na bezpieczną odległość.

- Więc co teraz? - spytała lekko drżącym głosem.

- Nie wiem, czy zauważyłaś, ale ty też nieźle radzisz sobie z ucinaniem dyskusji - powiedział Lucien.

- To kolejny powód, dla którego nasz związek nie ma szans. Lucien uśmiechnął się szeroko.

- Jeszcze wczoraj zupełnie nieźle się nam układało.

Nim Raine zdołała odpowiedzieć, usłyszeli przeraźliwe ujadanie Psa, który pędem dopadł do nóg swojej pani.

- Pies, pokaż, co znalazłeś - rozkazała.

Lucien położył na jej ramieniu swą ciężką dłoń.

- Nie idź tam, Raine.

- Muszę. - Raine schyliła się i łagodnym gestem uspokoiła Psa. - Coś się stało.

- Wiem. Zamierzałem ci o tym powiedzieć.

Raine spojrzała na niego zdumiona. Jakieś straszne przecucie ścisnęło ją za gardło.

- Powiem wprost. Stary Bullet został zastrzelony.

Raine jęknęła i pędem ruszyła w stronę, z której przybiegł Pies. Lucien dogonił ją i zagroził drogę.

- Na bok, Kincaid - rozkazała, ale jej głos załamał się niebezpiecznie.

- Już nic nie da się zrobić. Wierz mi, Raine. Nie powinnaś tego oglądać. Pozwól mi się tym zająć - mówił Lucien stanowczym, ale kojącym tonem.

- Dlaczego? - Raine zacisnęła pięści, patrząc ponad jego ramieniem na niewielki wzgórek wznoszący się w oddali. - Podejrzewasz swojego człowieka?

Lucien pociągnął ją z powrotem w stronę Tickle.

- Zamierzam się tego dowiedzieć. Jeśli to któryś z moich ludzi, odkupię ci byka.

- I zwolnisz tego drania?

- Oczywiście. Masz moje słowo. Nie toleruję takiego zachowania. Wiesz o tym.

- Ja... już nic nie wiem. Kiedyś wydawało mi, że nigdy nie przywłaszczyłbyś sobie cudzej ziemi. A jednak.

- Nie zaczynamy tej dyskusji od nowa, Raine.

O dziwo, nie odpowiedziała. Lucien nie wiedział już, czy to zły, czy też dobry znak. Zamknęła się przed nim, przywdziewając znów tę obojętną, zimną maskę.

- Raine, musimy się zastanowić jeszcze nad jedną sprawą.

- Jaka? - zapytała niechętnie i cofnęła się o krok.

Nie zawsze broniła się przede mną, pomyślał Lucien z żalem. Pamiętał czasy, kiedy na twarzy Raine odbijały się wszystkie emocje - miłość, entuzjazm, radość życia - a on bez trudu potrafił je odczytać. Zniszczył niechcący romantyczną i radosną

naturę Raine. Przez niego stała się podejrzliwa, nieufna... Zabił jej marzenia, choć mógł pomóc w ich spełnieniu. I wszystko to stało się w ułamku sekundy - przez jeden bezwarunkowy odruch dwanaście lat temu. Odruch, którego będzie żałował do końca życia!

O, nie. Nie zamierza tego tak zostawić. Przywróci uśmiech na twarzy Raine! Od dziś zacznie spełniać jej marzenia.

- Jaka to sprawa? - powtórzyła.

- Hm - mruknął. - Może zaczniemy od...

I nie czekając dłużej, chwycił ją w ramiona i mocno pocałował. Zesztywniała na moment, ale po chwili wspięła się na palce i z równą pasją odwzajemniła pocałunki. Sporne ziemie, martwe zwierzęta, zniszczone płoty - wszystko to przestało istnieć. Zostali tylko oni dwoje. Mężczyzna i kobieta, obejmujący się pod rozświetlonym, błękitnym niebem.

Lucien przyciskał ją coraz mocniej, a Raine coraz bardziej wtulała się w niego. Oboje czuli, jak zaczyna im przeszkadzać ubranie. Lucien ściągnął najpierw rękawice, potem zrzucił z głowy kapelusz. Chciał ją mieć tu i teraz, wiedziony tym samym pożądaniem, przemożnym instynktem posiadania, co poprzedniej nocy. Pospiesznie rozpinał guziki przy jej koszuli. Ciało Raine pachniało cudownie. Poczul znowu gwałtowny zawrót głowy. Powróciło wspomnienie burzliwej nocy, wilgotnej ziemi i wielkiej namiętności.

- Tak bardzo cię pragnę - szepnął, całując ją namiętnie.  
- Chyba zwariuję.

- Nie możemy - odpowiedziała również szeptem Raine, ale nie zwolniła uścisku.

- A co nas powstrzymuje? Jesteśmy dorośli i nie potrzebujemy niczyjego pozwolenia, żeby się kochać.

- Przestań używać tego słowa. - Raine z trudem łapała powietrze. - To nie jest miłość.

Jej słowa rozłościły go.

- Skąd ta pewność? Od lat to czujemy.

- Czuliśmy to jeden raz. Wieki temu. To wszystko. Po prostu jesteśmy rozpaleni.

- Wczoraj w nocy zrobiliśmy sobie kompres. I co z tego wyszło? Pali jeszcze bardziej.

- Więc zastosuj maść żmijową! - zawołała Raine. — Albo wykap się w kozim mleku.

Lucien się roześmiał.

- Zamierzasz tak zrobić?

- Jeśli będzie trzeba. Do licha, Kincaid, wykapałabym się nawet w kotle czarownicy, żeby tylko oczyścić skórę z twoich śladów.

Lucien znów się roześmiał i pocałował ją. Raine walczy z losem, z przeznaczeniem, choć jej walka skazana jest przecież na niepowodzenie. Nie pozwoli jej zniszczyć tego, co może stać się najpiękniejszą treścią ich życia.

Ujął twarz dziewczyny w dłonie i zmusił ją, by spojrzała mu w oczy.

- Mylisz się kochanie. Wiesz, do czego porównałbym to, co czujemy?

- Do czego?

- Do dzikich kwiatów. Pojawiają się tam, gdzie nikt się ich nie spodziewa. Ożywiają i rozweselają ugory, bezpłodną ziemię. Już raz próbowaliśmy wyrwać je z korzeniami. Bez powodzenia. Kiedy byliśmy zajęci swoimi sprawami, wyrosły z powrotem. Jest ich teraz tak dużo, że nie da się ich już wyplenić.

- Kwiaty? - Raine zadrżała.

- Tak, kochanie. Przestań je niszczyć.

Zamknął w dłoniach ukryte w jedwabiu piersi dziewczyny. Oczy Raine zabłyśły tym niesamowitym odcieniem zieleni, który go zawsze zniewalał. Odbiły się w nich wszystkie głęboko

skrywane uczucia i pragnienia. Lucien zobaczył całą prawdę, tak głęboką i oczywistą, że nie śmiał w nią uwierzyć.

- Raine? Powiedz mi, co czujesz. - szepnął.

Niestety - zbyt się pospieszył. Raine nagle zeszywniała, jakby pojęła, co wyjawily jej oczy. Natychmiast wyrwała się z jego objęć.

- Nie! Nie chcę przechodzić przez to wszystko od nowa. Jeden raz mi wystarczy!

Lucien przyglądał się jej ze smutkiem.

- Przez co nie chcesz przechodzić jeszcze raz?

- Przez miłość do ciebie - rzuciła szybko i ruszyła w stronę Tickle.

To szczere wyznanie przysporzyło mu tyle samo bólu, co radości.

- Czy to ci grozi? - zawołał, biegnąc za nią. Chwycił ją za rękę. - Odpowiedz mi, Raine.

- A co ty sobie, do diabła, wyobrazasz, Kincaid? - Wyrwała mu rękę i zaczęła zapinać koszulę. - Kochałam cię, kiedy miałam osiemnaście lat. I popatrz, co się stało!

- Raine.

- To się nie może powtórzyć! Zbyt wiele straciłam. Dziadka. Reputację. Przyszłość. - Jej oczy zabłyśły. - Ciebie.

- Mnie? Nie straciłaś mnie! To ty ode mnie odeszłaś! To był twój wybór.

- Nie miałam żadnego wyboru. Nie po śmierci Papsa. Tamta noc miała swoje nieodwracalne konsekwencje. Nie pozwolę, by i tym razem tak się stało.

- Daj nam szansę, najdroższa. Tylko o to cię proszę.

Spojrzała na niego pociemniałymi i smutnymi oczami.

- A czy przywrócisz mi starego Bulleta? Naprawisz moją reputację? Tym razem też ucierpiała. Oddasz mi moją ziemię? Może to byłby dobry początek?

Pokręcił głową, choć wiedział, że tym ruchem przekreśla wszystko. Staremu Bulletowi nic nie przywróci życia. Jeśli zaś chodzi o ziemię, nie mógł jej zwrócić, ani też wytłumaczyć, dlaczego nie może tego zrobić. Nie miał nawet wpływu na ludzkie gadanie. Ludzie będą plotkować tym więcej, im częściej będzie się o nią bił.

- Wiesz, że żądasz ode mnie rzeczy niemożliwych - powiedział smutno.

- Sam widzisz, nie mamy szans. A ja tym razem nie popełnię błędu. Pies! Idziemy. - Zwierzę ruszyło posłusznie ze spuszczonego łbem i podkulonym ogonem. - Radzę ci zostać po twojej stronie ogrodzenia, Kincaid.

Lucien z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Płot zawsze można zniszczyć.

- No i co z tego wynika? - Raine schyliła się po swój kapelusz. Otrzeпаła go z kurzu i włożyła na głowę. Po chwili siedziała już w siodle. - Ogrodzenia rozdzielają to, co powinno być rozdzielone. Na przykład Kincaidów od Featherstonów. Jeśli będziesz rozwałął płoty, czekają cię większe straty niż tylko przedwcześnie zapłodnione jałówki.

- Na przykład nasze dziecko?

Raine spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Bezwiednie położyła dłoń na brzuchu.

- Nawet nie wiemy, czy ono istnieje.

- Proponuję jednak, byś brała taką możliwość pod uwagę, Raine. Bo jeśli nosisz moje dziecko, musisz zaakceptować niszczenie płotów. Ostrzegam cię. Gołymi rękoma je powalę, jeśli będą stały na mojej drodze do ciebie i mojego dziecka!

- Nie ma przecież żadnego dziecka - powtórzyła Raine z determinacją.

- I tak je obale. - Lucien zacisnął zęby. To, co niedawno wyczytał z oczu Raine, dodało mu otuchy. - Słyszysz, kobieto?

Żadnych płotów. Nie po tym, co wydarzyło się ostatniej nocy. Pozwalając mi zbliżyć się do siebie, skazałaś wszystkie dzielące nas ogrodzenia na unicestwienie.

Raine czuła, że Lucien nie rzuca słów na wiatr.

Bez słowa dała znak Tickle i ruszyła w stronę domu.

Lucien miał jednak pewność, że Raine doskonale zrozumiała, co chciał powiedzieć. Stał jeszcze długo, patrząc za nią i rozmyślając.

Czy Raine nosi jego dziecko?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Raine otworzyła drzwi. Na progu stał Lucien.

- Co ty tutaj robisz? - spytała, nie kryjąc zdziwienia.

Lucien oparł się o balustradę werandy. Jego potężne ciało niby ściana odgradzało Raine od świata.

- Cześć, Raine. Miło cię widzieć. Przyjemny wieczór, nieprawdaż? - Spojrzał w niebo. - Mamy dziś pełnię. Wieje orzeźwiający wiaterek. Nie jest ani za gorąco, ani za zimno, ani za parno, ani za sucho. Po prostu idealnie.

- OK. Co się stało?

- A dlaczego miało się coś stać?

Raine zapaliła światło na werandzie i spojrzała na Luciena podejrzliwie. To, co ujrzała, przeraziło ją. Popchnęła go w stronę lampy, by przyjrzeć się dokładniej. Pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Na miłość boską, Kincaid!

- To drobiazg.

Delikatnie dotknęła sinego policzka. Spuchnięte oko nie wyglądało wiele lepiej.

- Bardzo cię boli?

Lucien ujął jej dłoń.

- To naprawdę nic poważnego.

- Nie jestem pewna. Zdaje się, że twoje oko zderzyło się z czyjąś pięścią?

- To wielce prawdopodobne - przyznał.

Raine westchnęła ciężko i wyswobodziła dłoń z jego uścisku.

- Mam nadzieję, że to nie ma nic wspólnego z moją reputacją i z pewnym nieokrzesanцем o imieniu Buster.

Lucien lekko unióśł brwi, udając, że się zastanawia.

- Coś mi to imię mówi...

- Pozwól, że zgadnę. Jest jakiś związek między twoim wyglądem a wydarzeniami pewnej burzowej, czy też raczej burzliwej nocy. Poczuleś zew krwi i znów złamałeś komuś nos.

- Zew krwi, dobrze to ujęłaś. - Lucien wzruszył ramionami.

- Nic na to nie poradzę, że facet jest samobójcą. Poprzednim razem ja miałem złamany nos. Teraz szczęście się odwróciło od Bustera.

W głosie Luciena wyraźnie zabrzmiał triumf. Przypominał jej kota, który taszczy do domu swoją zdobycz na dowód zwycięstwa. Z trudem powstrzymała uśmiech.

- Dobrze, że znów nie wylądowałeś w areszcie. - Rozejrzała się wkoło. - A może gdzieś tu czai się szeryf Tilson? Potrzebujesz kryjówki?

Lucien uśmiechnął się krzywo.

- Chyba jesteśmy bezpieczni.

- Co za ulga. Chociaż wydajesz mi się podejrzenie spokojny jak na człowieka, który jest na bakier z prawem.

Pochylił się ku niej i wyszeptał:

- Powinno cię raczej zastanowić to, gdzie postanowiłem spędzić ostatnie godziny wolności.

Raine pokręciła głową. A już myślała, że tydzień temu ustalili pewne rzeczy. Wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Po co przyszedłeś, Kincaid?

Wziął ją za rękę i pociągnął w stronę dwóch bujanych foteli.

- Mam wiadomości o Bullecie - powiedział i nim zdołała zaprotestować, usadził ją wygodnie.

Westchnęła. Lucien miał prawdziwy talent do zmuszania

ludzi, by robili to, co on zechce i jeszcze byli przekonani, że właśnie spotyka ich coś najlepszego. Sama pragnęłaby posiadać taki dar.

Lucien usiadł w fotelu naprzeciwko i kołysząc się lekko, kontynuował:

- Za śmierć Bulleta odpowiada jeden z moich ludzi. Dzieciak o imieniu Rand.

- Ten sam, który wkurzył cię wtedy, po burzy?

- Tak, ten, który gapił się na ciebie. Już wyrzuciłem go z pracy. Kupiłem ci też byka.

- To nie było konieczne.

- Owszem, było.

- A więc przyszedłeś tu po to, by mi oświadczyć, że rozwaliłeś nos Busterowi, wyrzuciłeś Randa i kupiłeś mi nowego Bulleta?

- Tak. Poza tym musimy omówić jeszcze kilka ważnych spraw. - Jego oczy pociemniały. - Na przykład, jak się ma nasz dzidzius?

Jej fotel gwałtownie zaskrzypiał i ucichł. Przestała się bujać.

- Co takiego?

- Nasz dzi...

- Cicho! - Raine z niepokojem spojrzała w stronę drzwi. Nanna mogła ich usłyszeć. Pewnie i tak domyślała się, co zaszło w czasie burzy, ale niczego nie mogła być pewna. Raine wolałaby umrzeć, niż potwierdzić przypuszczenia babci. Czy Lucien nie zdawał sobie sprawy, że jego dźwięczny bas rozbrzmiewa donośnie w ciszy wieczoru? - Nie mam pojęcia, czy jestem w ciąży - szepnęła. - I byłabym ci niewymownie wdzięczna, gdybyś łaskawie nie obwieszczał naszych grzeszków wszem i wobec.

- Mówiąc „wszem i wobec”, masz na myśli Nannę? Kochanie, oszukujesz samą siebie. Jeśli sądzisz, że Nanna niczego się

nie domyśla, to jesteś w błędzie. Ale skoro tak wolisz, będę mówił ciszej. - Zaczął szeptać: - A więc jest jeszcze za wcześnie, żeby sprawdzić, czy jesteś w ciąży?

- Tak. Poza tym... - Raine zrobiło się słabo. Nie była pewna, czy chce mu to wszystko tłumaczyć.

- Poza tym co?

Niech to licho - to chyba najbardziej niezręczna rozmowa, jaką kiedykolwiek przyszło jej prowadzić.

- A jak myślisz? Uważasz, że trzymam w szufladzie całe stopy testów ciążowych? Wyobrażasz sobie, jak wchodzę do apteki i proszę o taki test? - szepnęła.

- Rzeczywiście, nie pomyślałem o tym. Wiesz co? Zamówię taki test w sąsiednim miasteczku. W porządku?

- OK - zgodziła się po namyśle.

Oboje umilkli. Po chwili Lucien westchnął ciężko i wstał.

- Muszę iść. Ale wpadnę jutro.

- Jutro?

- Masz coś przeciwko temu? - Uniósł brew.

- Nie, nie irytuj się. Po prostu zastanawiałam się, co może cię tu znowu sprowadzić.

- Aha, nie powiedziałem ci? - Lucien pogładził się po dwudniowym zarostcie. - Myślałem, że wspominałem tym.

- Co takiego? - zapytała z rosnącym niepokojem. Najwyraźniej z nią igrał! - Wyrzuć to z siebie, Kincaid! - syknęła przez zaciśnięte zęby.

Nonszalancko wzruszył ramionami.

- Że zamierzam cię odwiedzać.

- Odwiedzać? Niby dlaczego?

- Nie dla „czego”, ale dla „kogo” - sprostował spokojnie. Podszedł do jej fotela i pochylił się. - Zamierzam cię odwiedzać w celach matrymonialnych.

- Matrymonialnych? - powtórzyła. Słowo to dziwnie za-

brzmiało w jej ustach. Jakby nie docierało do niej jego znaczenie. Może to bliskość Luciena ją rozpraszała? Zakłócenia pola magnetycznego. Widocznie w jego obecności jej mózg przestaje działać. - To znaczy, chcesz umawiać się ze mną na randki? - spytała, jękając się.

- Nazywaj to, jak chcesz. - Przechylił lekko głowę. - Choć mnie osobiście bardziej odpowiada określenie „cel matrymonialny”. To brzmi tak przyjemnie staroświecko.

- Taak. Staroświecko. - Jego usta niemal dotykały jej ust. - To słowo niezbyt dokładnie oddaje charakter naszego związku, Kincaid.

Lucien zmarszczył czoło i cofnął się nieco.

- Od tej pory będzie. Tym razem mnie nie odpędzisz. Dzisiaj wpadłem tylko na chwilę, żeby poinformować cię o swoich zamiarach.

Raine pochyliła się nieco do przodu i odparła pozornie lekkim tonem:

- Już kiedyś to przerabialiśmy i do niczego nie doszliśmy. Pamiętasz?

- Jestem uparty. Chcę jeszcze raz spróbować przejść tę samą drogę.

Raine pochyliła się jeszcze bardziej i omal nie spadła z fotela, gdy Lucien nagle się wyprostował.

- Uparty? - burknęła pod nosem.

- Właśnie. A w dodatku bezwzględny i podły. Zamierzam wykorzystać cię maksymalnie. - Poglądził ją po głowie braterskim gestem. - Zrób mi przysługę, Raine, i ucałuj ode mnie matkę mojego dziecka.

Po tych słowach z szelmowskim uśmiechem przeszedł przez werandę, zeskoczył ze schodów i wszedł do swojej półciężarówki. Dziarsko zatrzasnął drzwi. Raine zaczęła kołysać się gniewnie. Drań! Jak mógł tak odejść, bez pożegnального pocałunku,

czy choćby czułego słowa. Najwyraźniej nie obchodziło go, jak ona poradzi sobie z ogniem, który w niej rozpałił.

Co też w nią wstąpiło? Najpierw przysięga sobie, że nie chce mieć nic wspólnego z Lucienem Kincaidem, a wystarczy, by pojawił się na horyzoncie, a natychmiast pragnie jego pieśczoć. Ba, żeby tylko! Oddałaby mu się tu i teraz! W dodatku on o tym wiedział, a to było najgorsze! I igrał z nią. Bawił się w kotka i myszkę. „Cele matrymonialne”, dobre sobie! Chce ją trochę podręczyć, to wszystko.

Gdy tylko ciężarówka Luciena zniknęła z podjazdu, na werandę wyszła Nanna.

- Czyżbym słyszała Luciena? - spytała niewinnie.

- Tak. - Raine odchrząknęła. Jej głos - a niech to diabli! - zabrzmiał miękko, a nawet czule! - Właśnie się z nim rozmięnął, babciu.

- Po co przyszedł?

- Wpadł w odwiedziny.

- Tak sobie wpadł, czy w celach matrymonialnych?

No nie! Czy Nanna musiała zawsze wszystko wiedzieć?

- Powiedzmy.

Nanna przyjęła tę wiadomość z całkowitym spokojem. Jedyne błysk w jej oku zdradził rozbawienie.

- W takim razie muszę wybrać się po zakupy i zrobić zapas jabłek i cytryn.

- Chyba czegoś nie rozumiem. - Raine zmarszczyła brwi. - Mówię ci, że wpadnie Lucien, a ty robisz zapas jabłek i cytryn?

- Jak ja cię wychowałam? Kiedy mężczyzna przychodzi z wizytą w celach matrymonialnych, musi dostać jabłecznik i lemoniadę.

- Ach tak. Taki zwyczaj?

- To teksańskie prawo! Obowiązujące!

Raine powstrzymała uśmiech. Jeśli nic się nie zmieniło

w ostatnim dziesięcioleciu, Lucienowi nie w smak będą tutejsze obyczaje. O ile pamiętała, nienawidził lemoniady.

- Powiem ci coś w zaufaniu, babciu. Lucien uwielbia lemoniadę! W jednej szklance musi mieć przynajmniej pół kilo cytryn!

Jak każdego dnia podczas ostatniego tygodnia, Lucien przysiadł się do Raine na werandzie i bez mrugnięcia okiem przyjął ogromną szklanicę lemoniady. Pociągnął wielki łyk i nawet się nie skrzywił, chociaż zęby mu ścierpły. Minęło jakieś pięć minut, zanim odzyskał czucie w języku i przełknął łyżę.

- Mam nadzieję, że wspominałaś Nannie, by nie robiła sobie takiego kłopotu? - wydyszał.

- O, to żaden kłopot. To dla niej przyjemność. Robi to specjalnie dla ciebie. Własnymi rękoma wyciska cytryny, dzień w dzień. Chyba ma do ciebie słabość, bo dla nikogo innego tak by się nie poświęcała.

Gdyby jego język nie był zwinięty w obolały kłębek, może błagałby o litość. Jednak w tym stanie mógł jedynie z wdzięcznością zamrugać oczami i heroicznie pociągnąć kolejny łyk żrącego kwasu. Minęło następnych pięć minut agonii, nim zdołał zapytać:

- Więc jak ci minął dzień?

- Ogrodzenie oddzielające mnie od mojej własności wciąż stoi, więc mój dzień nie był tak wspaniały, jak mógłby być.

Lucien wiedział, że te ataki słowne są spowodowane bólem, który nie opuszcza Raine ani na chwilę. Zresztą ten ból dotykał jego z taką samą mocą. Odpowiedział więc, starając się mówić normalnym tonem:

- Możesz bez obaw przeskakiwać te płoty, gdy tylko najdzie cię taka ochota.

- To zbyt wielkie ryzyko. Drut kolczasty zostawia rany.

- Powiedz tylko słówko, a pomogę ci przeskoczyć bez szwanku.

- Nie, dziękuję bardzo. - Raine wzięła dzban lemoniady i spytała: - Dolać ci?

Lucien w panice odsunął szklankę.

- Broń Panie Boże! - zawołał. Zapanowała cisza. A niech to! Że też musiały mu się wyrwać te słowa! Już tyle zniósł. Nagle zauważył, że Raine dławi się od śmiechu. - Raine! Niech to diabli! Wiedziałaś, że nie znoszę lemoniady, prawda?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - wykrztusiła.

- Aha! Akurat! - Z rozmachem wylał resztki napoju na trawnik. Wstał i chwyciwszy Raine w pasie, podniósł ją i usiadł w fotelu, sadzając sobie dziewczynę na kolanach. - Kobieto! Mój język jest całkiem przeżarty kwasem! To istny cud, że w ogóle nim ruszam.

Uśmiechnęła się szeroko.

- To cena za to, że przychodzisz w celach matrymonialnych bez zaproszenia. „Myślałem, że ci wspominałem” - powiedziała, naśladując jego charakterystyczny, nosowy akcent. - „Mam zamiar cię odwiedzać”.

Lucien poczuł, że czas zemsty nadszedł. Położył dłoń na brzuchu Raine i spytał cicho:

- Jak tam dzidzius?

Raine zareagowała natychmiast. Zesztywniała, czując, jak zalewa ją fala gorąca. Gdyby nie to, że ją obejmował, nigdy by tego nie poznał, bo niewzruszonym głosem, spokojnie i chłodno odpowiedziała:

- Lucien, mówiłam ci tysiąc razy. Nie jestem w ciąży.

- Jesteś pewna?

- Na sto procent.

- Wiesz, że zawsze poznam, kiedy kłamiesz?

- Jak to? - spytała ledwo dosłyszalnie.

- Wsuwasz brodę do przodu.  
- A ty robisz to samo, kiedy grasz twardziela. - Oparła głowę o jego ramię. - Biedne dziecko. Z takimi rodzicami czeka je marny los.

- Cokolwiek masz na myśli, zrób ten test, dobrze?

Raine wtuliła się w jego ramiona.

- To dlatego przychodzisz? Bo chcesz sprawdzić, czy jestem w ciąży? Tak na wszelki wypadek?

Nie widział jej twarzy, ale wyczuł, że dziewczyna czuje się bardzo niepewnie.

- Przychodzę, bo tego chcę - odparł spokojnie. - Należymy do siebie i mam nadzieję, że z czasem ty też to zrozumiesz.

- Lucien, to tylko pożądanie. Nigdy nie łączyło nas nic innego.

Nawet nie poczuł się dotknięty. Intuicja podpowiadała mu, że przemawia przez nią strach. Odsunął włosy z jej twarzy i pogłaskał jedwabiste, długie pasma.

- To prawda, czuję też pożądanie. Ale nie upraszczaj sprawy. Czuję znacznie więcej. Ja ciebie pragnę. Całej ciebie. Twego ciała i twojej duszy. Chcę zdobyć wszystko - twój umysł, dar rozumienia zwierząt, twoją hojność i szczerość. I zdolności kochania. Chcę cię mieć, niezależnie od tego, czy jesteś w ciąży, czy nie. Tylko mi pozwól.

- A jeśli wynik testu będzie pozytywny?

Przytulił ją mocniej i lekko pocałował w czoło.

- Mnie ciekawi coś zupełnie innego. Co będzie, jeśli będzie negatywny?

Raine wymknęła się ze swojego pokoju i cicho zeszła po schodach, trzymając w jednej ręce kapelusz, a w drugiej kluczyki do dżipa. Jak zwykle tuż za nią, czołgając się brzuchem przy ziemi, podążał Pies, najwyraźniej zaniepokojony, że jego pani

mogłaby go zostawić. Ale niepotrzebnie się obawiał. Nic takiego mu nie groziło - musiała z kimś pogadać.

Przed frontowymi drzwiami Raine bezzwłocznie włożyła buty i odrzucając na plecy rozpuszczone włosy, wcisnęła stetosona głęboko na czoło. Musi czym prędzej wyjść, uciec stąd, znaleźć się pod gwiazdami, by zaczerpnąć oddechu i zastanowić się, co teraz?

Wskoczyła za kierownicę wysłużonego džipa i popatrzyła w rozgwieżdżone niebo. Ucieszyła się, że auto nie ma dachu - będzie mogła do woli czerpać pocieszenie z pięknego widoku.

Wyjechała za bramę i wolno ruszyła wyboistą, krętą drogą, wiodącą wzdłuż pól i pagórków, aż nad urwisty klif we wschodniej części posiadłości Featherstonów. Tu się zatrzymała.

Wstawało słońce i jego blade promienie z wolna zalewały ścielącą się u stóp dziewczyny dolinę. Z boku, pod lasem, stał wielki dom, a obok kilka mniejszych budynków. Właścicielem tej posesji był jeden człowiek. Lucien Kincaid.

Raine oparła się wygodnie i zamknęła oczy. Niestety, wraz z zamknięciem powiek wizerunek pewnego mężczyzny wcale nie zniknął przed jej oczu. A szkoda.

- I co teraz będzie? - spytała Psa, rozłożonego na siedzeniu obok i czujnie wpatzonego w twarz pani.

Pies cicho zaskomlał i położył łapę na jej kolanie.

- Nie chcę tego słuchać - odparła, otwierając oko. - Rozmowa z Lucieniem nie ma sensu. On nie potrafi dyskutować. Jedyne, co świetnie mu wychodzi, to wydawanie rozkazów.

Pies zawarczał.

- Wcale nie jestem uparta, tylko praktyczna. Jak myślisz, dlaczego wcześniej nie wyszłam za mąż? - Pies cicho szczebkał i Raine przerwała mu gwałtownie: - Nie opowiadaj bzdur! Wcale nie jestem zakochana w Lucieniu! Nic podobnego. Nie wyszłam za mąż, bo czekam na kogoś niezwykłego. Na przyja-

ciela od serca. Całe życie byłam praktyczna i rozsądna, z wyjątkiem dwóch żałosnych historii. Nie zamierzam za nie pokutować całe życie! Chcę spełniać moje marzenia. Chcę księcia z bajki, rozumiesz? A Lucien Kincaid z pewnością nim nie jest.

Raine zignorowała dezaprobatę malującą się na pysku Psa, jak również gniewny ton jego warkotu.

- Wszystko, co mówisz, to iluzje. Lucien nie jest romantycznym rycerzem w błyszczącej zbroi. Jest tak samo praktyczny i trzeźwo myślący jak ja. Dodaj do tego sporą dozę bezwzględności i zapalczego uporu, i...

Pies szczeknął i Raine podniosła ręce w geście kapitulacji.

- Już dobrze, nawet jeśli i erotyzmu, to co z tego? Przecież musielibyśmy od czasu do czasu wychodzić z łóżka. I co wtedy? Będziemy się bez przerwy kłócić! Chyba mi tego nie życzysz? Mam rację?

Raine miała wszelkie podstawy, by podejrzewać, że Pies pękał w swym psim duchu ze śmiechu.

- Ty parszywy kundlu! - zawołała. - Dobrze wiesz, o czym mówię. Pewnie życzysz mi upojnego seksu, ale...

Nagle Pies wyłączył się z tej gorącej dyskusji. Zjeżył sierść i nadstawił uszu. Patrzył wyraźnie w stronę posiadłości Kincaidów. Po chwili rzucił się na drzwi samochodu i zaczął wściekle ujadać.

- Gdzie? Nie widzę! - zawołała przestraszona Raine, wpatrując się w majaczące w oddali zabudowania.

Gdy otworzyła drzwi, Pies dał susa z samochodu, przeskoczył przez ogrodzenie i pogonił w dół, po zboczach urwistego klifu. Raine siedziała jak sparaliżowana. Nie była w stanie zrobić najmniejszego ruchu. Modliła się, by Pies się mylił. Po dość długiej chwili zdołała wziąć się w garść. Z tylnego siedzenia chwyciła skrzynkę z narzędziami i wyrzuciła jej zawartość na siedzenie obok. Wzięła do ręki nożyce.

Nie zwlekając dłużej, podbiegła do ogrodzenia. Raniąc palce o kolce, poprzecinała drut w kilku miejscach i utorowała sobie drogę. Na powrót wskoczyła do dżipa i ruszyła w dół klifu, na przełaj.

Dżip podskakiwał gwałtownie, tak że narzędzia z brzękiem pospadały z siedzenia. Samochód kilkakrotnie omal nie przewrócił się na jakiejś przeszkodzie. Na szczęście doszło jedynie do kolizji z krzakiem i do dwukrotnego złapania gumy. Poza tym ani pojazdowi, ani kierowcy nic się nie stało. Wzbiwszy się dżipem w powietrze, Raine pokonała rów okalający pole przed domem. Taranując niewielki płotek, z hukiem zatrzymała się tuż przed schodkami na werandę. Spod maski auta wydobywały się kłęby pary.

Dziewczyna wyskoczyła z samochodu, wbiegła na werandę i załomotała pięścią w drzwi. Pies jak szalony biegał wokół domu i ujadał jak opętany. Raine poczuła smród spalenizny. Nikt nie otwierał. Pies rzucał się na drzwi, nieustannie jazgocząc. Raine wiedziała, że nie zachowywałby się tak, gdyby Luciena nie było w domu.

Rozejrzała się po werandzie, w desperacji chwyciła jeden ze stojących tam bujaków i zamachnąwszy się nim, z całej siły uderzyła w okno tuż przy drzwiach. Szkło rozprysło się wkoło. Raine przeskoczyła przez parapet i pobiegła w stronę schodów. W środku było szaro od dymu.

- Lucien! - krzyknęła, rozglądając się wkoło. - Gdzie jesteś?! Lucien!

Odpowiedziała jej przejmująca, głucha cisza. Z góry dobiegły ją tylko odgłosy pękającego w ogniu drewna. Potem ujrzała pierwsze płomienie.

W panice odwróciła się do Psa i rozkazała:

- Sprowadź pomoc.

Nawet nie patrzyła, czy Pies posłuchał. Wiedziała, że jej nie

zawiedzie. Przez chwilę stała nieruchomo, zbierając myśli. Gdzie może być Lucien? Czas naglił. Na lewo rozciągały się rzędy pokoi, na prawo kuchnia i spiżarnia. Raine postanowiła posłuchać głosu instynktu, który podpowiadał jej, że Lucien najprawdopodobniej jest na górze - tam, gdzie rozszalał się pożar.

Wzięła głęboki oddech i pobiegła po schodach, wprost w płomienie.

Dym stawał się coraz gęstszy. Nie mogła już dłużej nawoływać, bo zanosila się od kaszlu. Ściągnęła koszulę i obwiązała nią głowę. Nagle potknęła się o coś. Z przerażeniem stwierdziła, że to ciało Luciena. Leżał na półpietrze, tuż przy schodach. Nie ruszał się.

Pochyliła się i zaczęła nim szarpać.

- Kincaid! Obudź się! Błagam. - Złapała go za ręce i pociągnęła na schody. Kosztowało ją to wiele wysiłku, bo Lucien był ciężki jak worek mokrego cementu. Nagle poruszył się. Raine zawołała z nadzieją:

- Kincaid! Rusz się, draniu! Nie jestem w stanie cię ciągnąć, słyszysz!? Musimy się stąd wydostać!

Lucien jęknął.

- Tylko nie draniu - wymruczał. Jak zwykle sprzeczał się z nią! Jego słowa podziały na nią jak balsam. Jeszcze nigdy nie słyszała miłszych sercu dźwięków.

- Lucien!. - Kaszel nie pozwolił jej mówić. - Musisz mi pomóc. Możesz wstać? - wydusiła. Ale Lucien milczał. Zdesperowana Raine potrząsnęła nim z całej siły i krzyknęła mu prosto do ucha: - Kincaid! Wstawaj! Na miłość boską!

Lucien jęknął cicho, chwycił rękami za balustradę, podciągnął się z wielkim trudem i usiadł.

- Terrorystka - mruknął.

- Skargi kieruj pod innym adresem - odparowała Raine, nie

posiadając się z radości. Może im się uda? Dym stawał się nie do wytrzymania. Znów zakasłała.

Teraz, gdy Lucien siedział na schodach, jakoś sobie poradzą. Zeszła stopień niżej, obróciła na w pół bezwładne ciało mężczyzny plecami do siebie i zaczęła ciągnąć je w dół. Na ostatnim schodku upadła pod jego ciężarem, uderzając boleśnie o kamienną posadzkę. Podczas tej szarpaniny zza paska Luciena wysunął się oprawiony w skórę brulion. Raine chwyciła go i wsunęła sobie za spodnie. Brulion musiał mieć dla Luciena niezwykłą wartość, skoro ryzykował dla niego życie.

- Lucien, kochanie, chodź, musimy uciekać.

Nie reagował. Raine poczuła, jak ogarnia ją panika. Musi go stąd jakoś wyciągnąć. Spróbowała wstać, ale poczuła przeszywający ból w kolanie. Musiała je poważnie nadwyrężyć. Nie pozostało jej nic innego, jak czołgać się, ciągnąc Luciena w stronę drzwi. Po chwili, która zdała jej się wiecznością, usłyszała krzyki i do domu wpadło kilku mężczyzn. Wiedziała, że Pies jej nie zawiedzie! Dwóch z nich pomogło jej wstać i wyprowadziło ją na zewnątrz. Pozostali zajęli się Lucieniem. Położono ich obok siebie na trawie.

Raine zerwała bluzkę z twarzy i odetchnęła głęboko, pełną pierś. Jeszcze nigdy powietrze nie wydało jej się tak świeże i słodkie. Dobey przykucnął obok i pomógł jej włożyć koszulę. Przynęła się do Luciena. Jego pracownicy otaczali go zwartym kręgiem. Ku jej zdziwieniu zobaczyła wśród nich Randa.

- Co mu jest? - spytała słabym głosem.

- Ktoś go nieźle pokiereszował. Jest nieprzytomny od dymu, a na głowie ma guza wielkości pięści.

- Ale... - Jej oczy wypełniły się łzami. - Nic mu nie będzie, prawda?

- Wyjdzie z tego - pocieszała ją Dobey, choć jego słowa nie brzmiały zbyt przekonująco. - Karetka już jest w drodze.

Raine otarła łzy. Nie! Nie pozwoli, by ich historia tak się skończyła! Nie po to tyle razem przeszli, by teraz los miał ich rozdzielić! Chwyliła poły koszuli Luciena w obie ręce i pochyliwszy się nad nim, cicho, lecz dobitnie rozkazała:

- Tylko nie waż się umierać, ty cholerny draniu! Nasze dziecko potrzebuje ojca. Słyszysz mnie, Kincaid? Junior cię potrzebuje!

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Junior cię potrzebuje!

Wszystko go bolało. Głowa. Klatka piersiowa. Plecy. Czuł się tak, jakby ktoś poddawał go torturom, a potem wrzucił na dno, by tam dochodził do siebie. Powoli uniósł powieki, ale czym prędzej je zamknął, oślepiiony światłem.

Słyszysz mnie, Kincaid? Junior cię potrzebuje!

Te słowa wciąż brzmiały mu w uszach, zagłuszając ból. Zebrał wszystkie siły i otworzył oczy. Wziął głęboki oddech, co też kosztowało go wiele wysiłku, i zacisnąwszy zęby, podciągnął się do pozycji półleżącej. Świat kręcił się w szalonym tańcu, a głowę przeszywał ostry ból. Zmusił się, by na powrót nie opaść bezwładnie na łóżko. Wokół siebie ujrzał płataninę rurek i przewodów, do których był podłączony.

W głowie znów zadźwięczał znajomy refren:

*Tylko nie waż się umierać, ty cholerny draniu! Nasze dziecko potrzebuje ojca!*

Dziecko? Pożar. Tak! Był pożar, mnóstwo dymu i ognia. Raine zjawiła się, jak anioł z nieba.

Mówiła coś o dziecku! Lucien z głośnym krzykiem wyrwał z ramienia rurkę od kroplówki, uwolnił się od pozostałych przewodów i wyskoczył z łóżka.

Świat zawirował gwałtownie. Powietrze, niby rozkołysany ocean, uderzyło go w pierś. W ostatniej chwili złapał się poręczą łóżka, ratując się przed upadkiem.

Kiedy wreszcie udało mu się pokonać mgłę, która zasnuła

mu oczy, do pokoju wkroczyły dwie pielęgniarki. Na jego widok starsza, zapewne siostra oddziałowa, zawołała:

- Na litość boską, panie Kincaid! Co pan wyprawia?!

Lucien odchrząknął.

- To chyba jasne? - odparł chrapliwym, nieswoim głosem.

Na stoliku obok łóżka zauważył dzbanek z wodą. Chwyć go i jednym haustem wlał w siebie połowę jego zawartości. Woda smakowała niebiańsko. Resztę, wraz z lodem, wylał sobie na głowę i radośnie prychnął. Od razu oprzytomniał. Przeróżliwe dudnienie w głowie nieco ucichło, a mgła rozrzedziła się wyraźnie.

Pielęgniarka patrzyła w osłupieniu.

- Panie Kincaid, łazienka jest tam - wskazała ręką.

- Już nie jest mi potrzebna. Zmywam się stąd - obwieścił Lucien.

- Przykro mi, ale nie zrobi pan tego. - Siostra oddziałowa zagroziła mu drogę. - Być może doznał pan wstrząśnienia mózgu i uległ zatruciu tlenkiem węgla, więc nie wyjdzie pan stąd, dopóki lekarz nie wyrazi zgody.

- Owszem, wyjdę. Nic prostszego. Wystarczy stawiać jedną nogę przed drugą, aż dojdę do drzwi z napisem „Wyjście”. A stamtąd już prosta droga, prawda?

- Pójdzie pan w szpitalnej piżamie? - Pielęgniarka zmierzyła go kpiącym wzrokiem.

- Gdzie jest moje ubranie? - jęknął Lucien.

- Z pewnością nie tutaj, panie Kincaid - odparła kobieta z triumfem w głosie.

Lucien postanowił zmienić taktykę.

- A co stało się z Raine Featherstone?

- Nie udzielamy informacji o stanie pacjentów. Chyba że jest pan rodziną.

Młodsza pielęgniarka, kryjąca się dotąd za plecami oddzia-

łowej, wychyliła się i podniosła kciuk do góry. Lucien odgadł, że Raine nic się nie stało.

- Czy jest ranna? - spytał.

Młoda pielęgniarka z uśmiechem pokręciła głową. W tym momencie oddziałowa odwróciła się nagle i zmierzyła ją gniewnym wzrokiem. Dziewczyna popatrzyła na nią niewinnie. Lucien omał nie wybuchnął śmiechem.

- Marsz do łóżka, panie Kincaid! - syknęła oddziałowa.

Ta kobieta najwyraźniej nie wiedziała, że Lucien nie znosi rozkazów. Zawsze wtedy postępuje dokładnie odwrotnie.

- Odsuń się z drogi, kochanieńka - poradził jej spokojnie. Powstrzymując jęk bólu, niezdarnymi ruchami zrzucił z siebie piżamę, zdarł z łóżka prześcieradło i owinał się w nie. Praktyka czyni mistrza - tym razem wcale nie czuł się zażenowany. Wyglądał jak Cezar szykujący się do boju z Egipcjanami. Już przyjął wojowniczą postawę, gdy nagle dobiegł go znajomy głos:

- Co ty u diabła wyprawiasz, Kincaid? Wystarczy zostawić cię na dwie minuty samego, a już zdążysz narozrabiać.

- Raine?

- A któżby inny? - Do pokoju weszła Raine, lekko kulejąc. Zmierzyła wzrokiem kreację z prześcieradła i uśmiechnęła się szeroko.

- Coś mi tym strojem przypominasz. To niesamowite, jak widok na wpół nagiego mężczyzny działa na kobiety. - Raine spojrzała na osłupiałą oddziałową i mrugnęła do Luciena.

Lucien niemal pożerał ją wzrokiem.

- Jak się czujesz?

- W porządku.

- Kulejesz.

- O, to dawna kontuzja. Po meczu w kosza.

Lucien zaśmiał się i poczuł silny ból w klatce piersiowej. Kiedy znów mógł oddychać, spytał:

- Uciekamy z tego więzienia?

Na szczęście Raine nie próbowała dyskutować. Tym razem przegrałaby niewątpliwie.

- Proszę oddać mu ubranie - zwróciła się stanowczo do oddziałowej.

- Pan Kincaid musi podpisać oświadczenie, że opuszcza szpital na własne żądanie - odparła chłodno pielęgniarka. - Podpisz za parę dzinsów. Inaczej nie da rady.

Lucien pokiwał głową z zadowoleniem. Może pójść na taki układ.

Oczywiście cała procedura trwała o wiele dłużej, niżby Lucien sobie tego życzył. Kiedy wreszcie było po wszystkim, nie miał siły postawić jednej nogi przed drugą, jak wcześniej się odgrażał. Na szczęście pojawił się salowy, pchający fotel na kółkach. Lucien z wdzięczności omal nie padł przed nim na kolana.

Raine uśmiechnęła się, widząc ulgę na jego twarzy.

- Siadaj, Kincaid. Chyba rzeczywiście kiepsko z tobą, skoro zgadzasz się jechać na czymś, co nie jest podkute.

Lucien postanowił przemilczeć tę obelgę.

Na zewnątrz świeciło gorące, teksańskie słońce. Po chwili znaleźli się przy samochodzie Nanny. Był to wygodny, obszerny ford. Salowy pożegnał się z nimi i Lucien stanął na własnych nogach. Zmierzył samochód wzrokiem pełnym podziwu.

- Gdzie się podział twój zardzewiały staruszek?

- Jeśli masz na myśli mojego dżipa, to zginął bohaterską śmiercią u stóp twojej werandy. - Raine pokręciła głową, widząc, że Lucien najwyraźniej zamierza zasiąść za kierownicą. - O nie, Kincaid. Wybij to sobie z głowy. Nie zamierzam ryzykować życia tylko po to, by chronić twoją przerosniętą męską ambicję.

- Ani życia Kincaida juniora?

Nie spuściła wzroku.

- Ani życia Kincaida juniora.

Lucien przez długą chwilę nie był w stanie wymówić ani słowa.

- Więc naprawdę jesteś w ciąży? - wyjąkał wreszcie.

- Jeśli twój test się nie myli, podobnie jak dwadzieścia innych, to tak. Jestem w ciąży. Wsiadaj. Porozmawiamy po drodze.

Lucien wsiadł bez słowa. Czuł niezwykłą miękkość w kolanach, wirowało mu w głowie.

- Kiedy się dowiedziałaś? - spytał niecierpliwie, gdy ruszyli.

- W dniu pożaru.

- Dziś rano?

Spojrzała na niego z ironią.

- Dwa dni temu.

- Co? Byłem w szpitalu dwa dni?

- Tak. Nawet budziłeś się od czasu do czasu, ale lekarz uprzedzał, że nic nie będziesz pamiętał.

- Miał rację. - Lucien pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Nie pamiętasz pożaru? - Raine zerknęła na niego, wyjeżdżając z parkingu.

- Jakieś oderwane obrazy. Pamiętam, że nazwałaś mnie cholernym draniem.

Roześmiała się wesoło.

- Więc pamiętasz rzeczy najważniejsze.

- I zakazałaś mi umierać. - Oboje spowaznieli. - Mówiłaś, że nasze dziecko potrzebuje ojca.

Raine milczała, tylko jej lekko zaróżowione policzki zdradzały prawdziwe uczucia.

- Czy Nanna wie?

Raine westchnęła ciężko.

- Niestety, nie byliśmy sami, kiedy przekazywałam ci tę nowinę. Ogłosiłam ją całemu światu. Równie dobrze mogłabym

wystąpić w telewizji. - Jej usta lekko zadrżały. - Dobey omal nie zemdlał. Nie wiem tylko, czy to przypadkiem nie dlatego, że nie miałam na sobie koszuli. Usiłował na mnie nie patrzeć, ale nie miał gdzie uciec wzrokiem.

Lucien wytrzeszczył oczy.

- Jak to? - spytał, marszcząc czoło.

- Owinęłam koszulę wokół twarzy. Nie miałam wyboru. Mogłam jeszcze nie oddychać, ale wtedy nie rozmawialibyśmy dzisiaj.

Lucien miał przeczucie, że nie uda mu się poważnie porozmawiać z Raine i czegokolwiek ustalić. Zbliżali się już do rancza, a Raine najwyraźniej uparła się, że nie dopuści do rozstrzygającej rozmowy.

- Zatrzymaj się tu, dobrze? - zawołał nagle.

Raine posłusznie zjechała na pobocze. Patrzyła z niepokojem.

- Coś ci jest? Niedobrze ci?

- Nie. Musimy porozmawiać.

Raine zacisnęła dłonie na kierownicy.

- Dobrze. Daję ci dziesięć minut. Mam cię natychmiast położyć do łóżka.

- A ja mam w nosie szpitalne nakazy. Idzie o ważniejsze sprawy. Muszę dopilnować, by w ekspresowym czasie nasz związek został oficjalnie przypieczętowany.

- To nie są zalecenia lekarza - przerwała Raine. - Chodzi o rozkaz władz najwyższych.

- Nanny?

- Zgadłeś. Mam cię czym prędzej dostarczyć do specjalnie przygotowanego, najlepszego pokoju gościnnego i zawiadomić, że spędzisz w nim nieco czasu - jednym tchem wyrecytowała Raine. - Będziemy mieć wiele okazji do rozmów. Natomiast jeśli chodzi o sprawę naszego związku, to wiesz, że tempo ekspresowe nie jest możliwe.

- Nie ma sprawy, poczekam odrobinę dłużej. - Lucien znów poczuł ogłuszające dudnienie w głowie. - A Nannie powiedz, że bardzo dziękuję za zaproszenie, wołę jednak jechać teraz do siebie.

- Jakiś ty uparty, Kincaid! - zawołała Raine z irytacją. - Był pożar. Twój dom nieco na tym ucierpiał. W każdym razie nie wygląda tak, jak go zapamiętałeś. Z kuchni praktycznie nic nie zostało. Nie mówiąc o górnym piętrze. Potrzeba sporo czasu, żeby go wyremontować.

- Nieważne. Przy pomocy moich ludzi...

- O, Nanna wszystko przemyślała. Ostrzegła Dobeya, że jeśli pozwoli ci wrócić do domu wcześniej, niż ona o tym zdecydowała, będzie miał z nią do czynienia.

Lucien ze śmiechem pokręcił głową.

- Chyba nie mam wyjścia?

- Chyba nie.

- Czy bardzo jest wkurzona o juniora?

- Nie tak bardzo. Oczywiście uważa, że wozu nie stawia się przed koniem, ale w gruncie rzeczy chyba się cieszy.

No tak. Pewnie Nanna wyobrażała sobie, że w nieco innych okolicznościach zostanie prababcią. Zresztą on sam nie sądził, że w ten sposób zostanie ojcem. Był konserwatystą. Miał swoje zasady.

- Mam nadzieję, że nie porachuje mi kości? - spytał.

- Nie obawiaj się. Dostałeś już za swoje. A propos. - Raine zwróciła się w jego stronę, opierając się plecami o drzwi samochodu. - Powiedz, co pamiętasz z tamtego dnia? Mam na myśli pożar.

- Chyba całkiem sporo.

- Musisz jeszcze coś wiedzieć. To dotyczy tego chłopaka, którego zwolniłeś za zastrzelenie Bulleta.

- Randa?

- Tak. Szeryf Tilson aresztował go za podpalenie twojego domu.

Lucien zeszywniał.

- Rand jest niewinny! Nie zrobił tego.

- On też tak twierdzi. Ale chyba nie liczy, że staniesz po jego stronie.

- Oczywiście, że stanę. - Lucien przełknął ślinę. Milczał chwilę, aż w końcu wyznał: - Wiesz, on chyba jest moim bratem.

Raine patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Jak to?

- W każdym razie to nie jest wykluczone. Rand twierdzi, że mój ojciec miał romans z jego matką na krótko przed rozwodem moich rodziców. Chłopak zatrudnił się u mnie, bo chciał mnie poznać.

Raine aż podskoczyła na siedzeniu.

- A więc zabił mojego ukochanego byka, żeby ci się przypodobać? Takie chłopięce igraszki?

- Wcale nie igraszki. Raczej złość i żal. Przez dwadzieścia lat miał dość czasu, by wypiełgnować swoją nienawiść. Nigdy przedtem nie pracował na ranczu. Potrafił rozmawiać ze mną tylko o jednym - jak to ojciec nie uznał go za swego syna. Był przekonany, że przez to wiele stracił. Uważał, że wiedziałem kim jest i że specjalnie dawałem mu najtrudniejsze zadania, na przykład pracę na spornej ziemi, żeby nie mógł wywiązać się z obowiązków. To dałoby mi podstawy do zwolnienia go.

- Ależ to absurd! Ty nigdy byś czegoś takiego nie zrobił.

- Właśnie to mu powiedziałem. Oczywiście nie uwierzył. Nie rozumie jednak, że nawet gdyby ojciec go uznał, i tak nie, wychowałby się na ranczu. Ojciec nigdy nie lubił wsi ani rancza, dlatego uciekł do miasta.

- A ty zrobiłeś coś odwrotnego. Zjawiłeś się u dziadków. Ile wtedy miałeś lat?

- Dziesięć. Uparłem się, że u nich zostanę. Krzyczałem, że jeśli chcą się mnie pozbyć, to muszą mnie oddać do cyrku. Chyba nawet miałem nadzieję, że to zrobią.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

- Jakie to wszystko dziwne - powiedziała po chwili w zamysleniu Raine. - Twoi rodzice nie znosili rancza, a moi je kochali. Gdyby twoi rodzice nie zginęli w wypadku, pewnie nie mógłbyś tu zostać. Byłeś tak samo przywiązany do dziadków, jak ja. Moi dziadkowie... - Raine urwała. Między nimi znów stanęło wspomnienie śmierci Papsa. Oboje zamilkli. Jednak Raine już po chwili przerwała milczenie. - Lucien, najwyższy czas, byśmy pogodzili się z okolicznościami śmierci Papsa. - Z trudem pokonała nagłe wzruszenie i ciągnęła: - Chcę, żebyś wiedział, że już nie winię cię za jego śmierć.

Chyba rzeczywiście nawdychałem się za dużo dymu, pomyślał Lucien, bo nagle oddychanie zaczęło sprawiać mu niesamowitą trudność.

- Dlaczego? Co się zmieniło? - spytał po długiej chwili.

- To dzięki Nannie. Zapytała mnie, jak bym się czuła, gdybyś to ty wówczas zginął.

- I co odpowiedziałaś? - spytał ledwo słyszalnym szeptem Lucien.

- Przeraziłam się na samą myśl o tym. Ale pytanie Nanny zmusiło mnie do stawienia czoła faktom. - Raine po raz pierwszy od dłuższej chwili spojrzała Lucienowi prosto w oczy. - To byłby dla mnie potworny cios, ale chyba wybaczyłabym mu, Lucien. Nie zadręczałabym siebie i jego przez dwanaście lat. Tak, wreszcie dotarło do mnie, że to był wypadek. A ja pozwoliłam, by nas rozdzielił. - Pokręciła głową. - Trudno w to uwierzyć.

Lucien nie mógł wykrztusić ani słowa. Spuścił głowę, usiłując się uspokoić.

Raine przesunęła się do niego. Chwycił ją w objęcia i mocno przytulił.

- Zostawmy przeszłość w spokoju, Lucien - szepnęła. - Może z czasem będziemy mogli o tym rozmawiać.

- Dobrze - wydusił Lucien, zdumiony, że w ogóle wydobył z siebie głos. Przytulił dziewczynę jeszcze mocniej, jakby szukał potwierdzenia, że oto są razem i że nic im już nie grozi.

- Opowiedz mi o pożarze. Jak to się stało? - spytała po chwili Raine.

Lucien wsparł brodę o jej głowę.

- Tamtego ranka, o świcie, nagle zjawił się Rand. Rozmawialiśmy chwilę. Nic takiego.

Raine prychnęła.

- Nic takiego? Pewnie się na ciebie rzucił?

- Ależ skąd. Chciał mi okazać swoje braterskie uczucia.

- Pięścią?

Lucien. się zawahał.

- Nie. Coś się gotowało na kuchni. Nie zauważyliśmy, kiedy zaczęło się palić. No i wiesz... Rand też nie jest ułomkiem. Trochę się o siebie obijaliśmy, usiłując ugasić ogień. Wtedy uderzyłem się w głowę.

- On ci w tym nie pomógł? - Raine patrzyła uważnie.

- Tym razem nie! Uderzyłem głową o kant stołu. Chyba straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem, Rand ciągnął mnie za nogę. Usiłował mnie ratować. Zaczęliśmy walczyć z pożarem, ale zajęła się już cała kuchnia. Wysłałem Randa po pomoc, a sam pobiegłem na górę po ważne dokumenty. A propos, gdzie jest mój brulion? - zapytał z niepokojem.

- Nie martw się, zaopiekowałam się nim.

A niech to diabli! Lucien uśmiechnął się z przymusem.

Raine nie spuszczała z niego wzroku.

- To chyba coś piekielnie ważnego, skoro ryzykowałeś życie?

O nie! - Raine nigdy się nie dowie, jak bardzo ważny jest ten brulion.

- Bez przesady. Zdażyłbym bez trudu, ale niestety, znów zemdlałem. Nałykałem się za dużo dymu. A wtedy chyba zjawiaś się ty?

- Tak, ale twoi ludzie przybyli wkrótce po mnie.

- Rand sprowadził pomoc?

- Rand albo Pies. W każdym razie Rand był z nimi. - Raine rzuciła okiem na zegarek i jęknęła. - Ojej, musimy już jechać! Nanna obedrze nas ze skóry.

- Nie ma mowy! Nanna poczeka. Musimy jeszcze porozmawiać o dziecku! - Chwycił ją za rękę, próbując ponownie do siebie przyciągnąć.

Ku jego zdziwieniu, Raine skrzywiła się i wzdrygnęła.

- Co się stało? - spytał z niepokojem.

- Nic - odparła, uśmiechając się z przymusem.

- Jak to nic? - Ujął jej zaciśnięte dłonie i delikatnie, lecz stanowczo je rozwarł.

To, co zobaczył, odjęło mu mowę. Po chwili zaklął siarczyście i zawołał:

- Co się stało? Musisz mi to wytłumaczyć! Teraz.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Raine westchnęła.

- To tylko zadrapanie.

- Ładne mi zadrapanie. Wygląda tak, jakbyś wdała się w walkę z jakimś dzikim zwierzęciem i bestia wygrała. To drut kolczasty? Przyznaj się.

- Tak, drut. Zawaliłam sprawę. Zapomniałam rękawic. To naprawdę drobiazg.

- Ładny mi drobiazg! Coś mi się wydaje, że to ja jestem za to odpowiedzialny?

Patrzył na nią z takim przejęciem, że parsknęła śmiechem.

- Tak, Kincaid! Oczywiście. Ty zawsze jesteś odpowiedzialny za wszystko. Ale nie tym razem, przykro mi. Nie pozwolę ci odebrać mi mojego jedyne, drobnego sukcesu.

- Jeśli to nazywasz sukcesem, to wolę nie oglądać twojej porażki - odparował Lucien.

- Porażkę odniosłabym, gdyby nie udało mi się przedrzeć przez ten drut.

Zrozumiał w lot.

- W dzień pożaru?

- Tak. Jak zwykle zagroził mi drogę. Tyle że tym razem nie zdażyłam włożyć rękawic.

Lucien uniósł powoli jej dłoń do ust i delikatnie ucałował nadgarstki, tuż nad ranami.

- Wciąż tylko zadaję ci ból. Paps, dziecko, teraz to. Ale

wiesz, że zrobiłbym wszystko, żeby cię chronić. Wiesz o tym, prawda?

- Wiem. - Wyrwała mu rękę. - Ale to nie jest twoje zadanie.
- Właśnie, że jest.

Pokręciła głową.

- Nie słuchasz uważnie, Kincaid. Ja umiem o sobie zadbać. Być może gdybyś szukał partnera, znalazłbyś go we mnie. Ale jeśli szukasz bezradnej i kruchej istotki, to zapomnij o tym. Przestań wreszcie grać księcia na białym koniu, który przybywa ocalić swoją księżniczkę. Ja nie jestem księżniczką. Też chcę czasem przywdziać zbroję i przybyć ci na ratunek. To był jeden z tych przypadków. OK?

Ku jej zdziwieniu, Lucien nie zaprotestował.

- OK — odparł z przekonaniem. - A teraz, partnerze, może powiesz mi, co z nami będzie?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Chyba domyślam się, do czego zmierzasz.

- O, to nietrudno zgadnąć. Moim zdaniem nie ma w tym nic dziwnego, że chcę być z moim dzieckiem i z jego matką? - W głosie Luciena dało się wyczuć pewne napięcie. - Kilka tygodni temu być może mieliśmy inne plany i inaczej patrzyliśmy na naszą przyszłość. Moglibyśmy spróbować popracować nad naszym związkiem.

- Nad jakim związkiem? - Raine najwyraźniej nie zamierzała dać się ponieść emocjom.

Lucien prychnął z rozdrażnieniem.

- Nie zaczynaj znowu dyskusji, Raine! Musisz uczciwie przyznać, że trudno nam było trzymać się od siebie z daleka. Po tylu latach, i po tym wszystkim, co stało się między nami. To chyba o czymś świadczy?

Nie mogła zaprzeczyć.

- Być może w innych okolicznościach nasz związek miałby

szansę. - Raine urwała, widząc, jak Lucien znużonym gestem pociera czoło. - Lucien, porozmawiamy innym razem. Musisz jak najszybciej się położyć.

- Jeszcze moment. - Przyjrzał się jej uważnie. - A zatem uważasz małżeństwo ze mną za całkowitą ostateczność?

- Czy to oświadczyny, Kincaid?

W jej głosie usłyszał coś takiego, co kazało mu czym prędzej się wycofać. Nie rozumiał, dlaczego Raine tak się zachowywała, ale wyczuwał, że musi dać jej czas.

- Owszem, to jest jakieś rozwiązanie.

- Jednak mało prawdopodobne? Rzeczywiście, muszę ci przyznać rację. To nie są wymarzone okoliczności - powiedział Lucien. - Jeśli nie chcesz, nie musimy się pobierać.

Wyciągnął rękę i pogładził jej czarne włosy. Ta delikatna pieśczoła wystarczyła, by Raine utraciła zdolność logicznego myślenia. Zapragnęła tylko jednego - znaleźć się w jego ramionach i upajać się jego pocałunkami, choćby do końca życia. Lucien nie golił się od kilku dni, miał zaczerwienione powieki, podrapane czoło, ale dla niej był najpiękniejszym mężczyzną świata.

- Ach tak - wymruczała. - Więc co zrobimy?

- Jest jeszcze jeden powód, dla którego powinniśmy być razem.

- Jaki?

- Byłabyś zdumiona, gdybym ci powiedział, o czym czasem myślę. - Raine najwyraźniej czekała, by skończył, więc dodał: - Myślę o nas. Widzę nas nagich.

- Nagich. - Raine się rozmarzyła. Całe szczęście, że siedzieli w samochodzie, na poboczu publicznej drogi, bo inaczej do prawdy nie wiadomo, co by się mogło teraz wydarzyć. - Przyznam ci się, że ja też czasem miewam podobne myśli.

Jego oczy pociemniały.

- Chodź tu.

- Nie. Nie mamy czasu. - Pokręciła głową.

- Na to zawsze jest czas. - Przytulił ją i przywarł ustami do jej warg. Od tej chwili nic się nie liczyło. Znikły wszystkie przeszkody, sporna ziemia, płoty z kolczastego drutu, bolesna przeszłość. Nawet słońcem zalana jezdnia, ludzie i samochody. Tylko splecione ramiona i połączone w pocałunku usta.

- Chodź tu do mnie - szepnął, wprawiając jej zmysły w wir.

- Przesuń się trochę.

W tym momencie rozległo się donośne pukanie w szybę. Odskoczyli od siebie jak poparzeni. Ujrzeni pochylonego przy samochodzie szeryfa Tilsona. Nie wiedzieć czemu na jego ustach widniał szeroki uśmiech.

Lucien omal nie zaklął siarczyście. Opuścił szybę.

- Właśnie zamierzałem rozpocząć poszukiwania samochodu Nanny, i co widzę! Jeśli macie oddawać się fizycznym uciechom, to znajdźcie sobie bardziej ustronne miejsce, zgoda?

Raine poczuła nawet lekkie rozgoryczenie, bo Lucien nadspodziewanie szybko odzyskał zimną krew. Bez cienia zmieszania podał szeryfowi rękę.

- Witaj, Tilson. Miło cię widzieć.

- Akurat! - Szeryf roześmiał się wesoło.

- Może rzeczywiście to nie jest najlepszy moment - zawtórował mu Lucien. - Ale i tak miałem do ciebie dzwonić. Powinieneś uwolnić tego młodziaka, Randa.

- A więc mówił prawdę? Pomagał gasić pożar? Nie przeszkadzał?

- Przeszkadzał trochę przed, a pomagał po. Ale skoro ustaliliśmy między sobą pewne fakty, myślę, że mi już nie zagraża. Między nami mówiąc, Tilson, to chyba mój brat.

- Szczerze mówiąc, kogoś mi przypomina. Teraz już wiem, kogo. - Tilson pokręcił głową. - I widzę, że jest takim samym

narwańcem jak ty. Jeszcze jedna taka bójka z Busterem Lucien, a wszyscy trzej będziecie zamiatać więzienne cele! Traktuj to jak ostatnie ostrzeżenie.

- Wszyscy trzej?

- Potrzebuję czwartego do pokera. No, zmykajcie. Nie chcę, żeby spanikowana Nanna znów do mnie dzwoniła. - Szeryf wyprostował się i dodał lekkim tonem: - Mam nadzieję, że dostanę zaproszenie na ślub? - Mrugnął wesoło.

Raine pochyliła się w stronę okna.

- Nie zamierzamy się pobierać. Chcemy żyć w grzechu przez piętnaście lat.

- Aha! Już widzę, jak Nanna się na to zgadza. Ani mrugniecie okiem, jak staniecie przed ołtarzem. Jeszcze zanim dziecko się urodzi! - Tilson wyszczerzył zęby i pomaszerował w stronę radiowozu.

Lucien omal nie wybuchnął śmiechem. Raine zaklęła.

- Uważaj, żebym nie nabiła ci guza z drugiej strony głowy! - zawołała groźnie. - Ciekawe, czy wtedy będziesz się śmiał.

- Na pewno nie. Śmiech strasznie boli. Zabierz mnie do domu, kochanie. A jeszcze lepiej do łóżka.

Jak na schorowanego pacjenta, Lucien wydał się Raine dość niebezpieczny. A co gorsza, jego stan całkiem jej odpowiadał.

Uruchomiła auto i wyjechała na drogę.

- Zabieram cię do domu. Ale na tym moja gościnność się kończy.

- Jednak przyjemnie by było kochać się w łóżku, nie sądzisz? - mruknął Lucien. - Tak dla odmiany.

Lecz minęły dwa długie tygodnie, a marzenia Luciena nie spełniły się. Nie doszło nawet do rozmowy, która zadecydowałaby o ich przyszłości i o losie dziecka. Początkowo Lucien cierpliwie czekał na odpowiednią chwilę, potem zaczął się coraz

bardziej niecierpliwic. Raine najwyraźniej unikała konfrontacji. Wciąż wynajdowała jakieś niecierpiące zwłoki zajęcia na ranczu, zawsze jak najdalej od Luciena. Były to dla niego najbardziej męczące i bezużyteczne dwa tygodnie w życiu.

Starał się ją zrozumieć. Nie zamierzał naglić, chciał jej dać czas do namysłu - oczywiście w granicach rozsądku. Okazało się jednak, że musi mieć więcej cierpliwości niż każdy inny mężczyzna. Raine była mistrzynią w sztuce stawiania przeszkód. Lucien czuł, że jeśli tak dalej pójdzie, nie pozostanie mu nic innego, jak zarzucić sobie dziewczynę na plecy i zanieść ją do najbliższego kościoła. Ale przed podjęciem radykalnych kroków, postanowił jeszcze porozmawiać z Nanną. Może kobieta o podobnym do Raine temperamentie i usposobieniu da mu jakąś radę?

- Nanno, masz wolną chwilę?

- Dla ciebie zawsze, Lucien. - Nanna posadziła go i postawiła przed nim talerz ciasteczek i wielką szklanicę zimnego mleka.

Lucien popatrzył na ciastka z uśmiechem, po czym stwierdził wesoło:

- Ty nie rozpoczniesz żadnej rozmowy, zanim nie nakarmisz swojego rozmówcy ciasteczkami. Prawda?

Nanna uśmiechnęła się identycznie jak Raine. Luciena coś ścisnęło za gardło.

- Kiedyś zauważyłam, że ludzie nie potrafią się kłócić z ustami pełnymi ciasteczek. A już na pewno nie z osobą, która je upiekła.

- Diablica.

- I to jaka mądra. - Nanna przysiadła na łóżku. - Lucien, jeśli zamierzasz mówić o wyprowadzce, to powtarzam po raz ostatni: nie ruszysz się stąd, póki ja o tym nie zadecyduję.

Lucien sięgnął po ciasteczko.

- Coś mi mówi, że to nastąpi dopiero po moim ślubie z Raine?

Nanna kiwnęła głową.

- Mniej więcej taką datę miałam na myśli.

- Ja nie mam nic przeciwko temu. Ale może być problem z Raine. Myślałam, że będziemy mieli mnóstwo okazji, by omówić naszą wspólną przyszłość, a ona po prostu mnie unika.

- Lucien bezwiednie sięgnął po kolejne ciasteczko.

Nanna prychnęła. .

- Nie bez powodu zwróciłam się o pomoc do Klubu Samotnych Serc.

- A więc wiedziałaś, że chcę się ożenić z Raine?

- Oczywiście, inaczej byłabym rozczarowana.

Lucien zeszytniał. Odłożył ciasteczko na talerz. Pora na szczerą rozmowę. Od czasu śmierci Papsa nigdy tak naprawdę ze sobą nie rozmawiali. Tuż po pogrzebie Nanna była zbyt pogrążona w żałobie, by zamienić z nim więcej niż kilka słów. Przyjęła jedynie przeprosiny. Lucien poprzysiągł sobie, że zrobi wszystko, by wynagrodzić jej stratę. I czy Nanna zdawała sobie z tego sprawę, czy nie, dotrzymał słowa.

- I nie masz nic przeciwko temu?

- Myślisz o Papsie? Nie. Nie mam nic przeciwko temu.

- Nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo żałuję tego, co się stało. - W jego głosie zabrzmiała nuta najszczerzego bólu.

- Wiem, że nic nie cofnie czasu. Choć zrobiłbym naprawdę wszystko. - Spojrzał jej w oczy.

Nanna wzięła go za rękę.

- Nigdy nie miałam o to do ciebie pretensji, Lucien. Wiem, że to był wypadek.

Lucienowi zadrżały usta. Zacisnął wargi.

- Tak, to był wypadek - powiedział zduszonym głosem.

- Ale fakt pozostaje faktem - odebrałem życie człowiekowi. Twojemu mężowi.

Z ciepłej dłoni Nanny wręcz namacalnie płynęło do niego pocieszenie i wsparcie.

- Nie chciałeś tego. Zresztą to Paps był bardziej winny niż ty. Nie powinien był biec za tobą w szale wściekłości. I brać ze sobą strzelby. A już na pewno nie powinien był jej użyć.

Lucien spojrział na nią zdumiony.

- A więc ty wiesz o wszystkim? - wyszeptał chrapliwie.

- Oczywiście.

- I nigdy nie powiedziałaś Raine?

- To nie jest moje zadanie. Ty musisz jej powiedzieć.

- O nie. O niektórych sprawach lepiej milczeć.

Nanna pokręciła głową.

- Jeśli taki jest twój wybór. Choć czasem milczenie zadaje więcej bólu niż słowa.

- O nie! Nie w tym wypadku.

Nanna uśmiechnęła się smutno.

- I co ja z tobą zrobię? - Wcisnęła mu do ręki ciastko.

- Myślisz, że nie widzę, jak obwarowałeś swój sekret. Jakbyś otoczył się płótem i wypisał sobie na czole: Wejście zabronione! A to, wbrew pozorom, bardziej przyciąga niż odstrasza. Jak myślisz, jak na to reaguje Raine?

- Usiłuje przeskoczyć ogrodzenie? Nawet jeżeli mogłaby się poranić...

- Właśnie. Istnieje tylko jeden sposób, by ją powstrzymać. Trzeba jej wszystko powiedzieć. Także i to, co ja ukrywałam przed nią do tej pory. - Spojrzała wymownie. - Wiesz, o czym mówię, prawda?

- Wszystko?

Nanna skinęła głową. W jej oczach odbił się smutek.

- To może być straszne, ale trzeba. Wszystko. Jeśli chcesz zdobyć Raine, któreś z was musi wreszcie zburzyć dzielące was mury. Wydaje mi się, że to zadanie dla ciebie. - Uśmiechnęła

się, jakby w ten sposób chciała przelać na niego swą siłę i dodać mu otuchy.

Raine obudziła się, słysząc cichy szelest. Wsparła się na łokciu, wpatrując się w ciemność.

- Pies? - spytała.

- Nie, nie Pies. - Materac ugiął się pod ciężarem. Lucien wsunął się pod ciepłą kołdrę. Raine zeszytniała. - Posuń się odrobinę - rozkazał.

- Straciłeś rozum? - wyszeptała. Kiedy ani drgnęła, Lucien wsunął ręce pod plecy dziewczyny i przesunął ją bez trudu. Jego dłonie paliły skórę, nawet przez cienką tkaninę koszulki nocnej, dotykając tam, gdzie nie powinny. - Co ty wyprawiasz?

Roześmiał się cicho. Jego oddech połaskotał jej skroń.

- Jak to co? Kobieta nie powinna zadawać takich pytań. Szczególnie w twoim stanie. - Ułożył się wygodnie, po czym objął ją i przyciągnął do siebie.

- Czy możesz choć raz być poważny? - spytała, starając się ukryć, jaką jej to sprawiło przyjemność.

- Przez ostatnie dwa tygodnie próbowałem porozmawiać z tobą poważnie. Unikałaś mnie.

- Więc umów się ze mną na spotkanie - odparowała.

- A może być tu i teraz? To chyba jedyne miejsce, z którego nie uda ci się ode mnie uciec.

- Zawsze mogę wstać i wyjść.

- Tak? - Lucien zacisnął ramiona wokół niej jak obręcz.

- Nie ruszymy się stąd, dopóki nie omówimy najważniejszych spraw.

- Nannie się to nie spodoba - ostrzegła Raine.

- A jak myślisz, kto mi podsunął ten pomysł?

Raine zamilkła.

- Diablica! - wydusiła.

- Ale jaka mądra!

Milczeli przez długą chwilę. Raine nie wiedziała, czy to ciepło ciała Luciena tak na nią działa, czy też spokojne bicie jego serca, ale z wolna odprężyła się w jego objęciach.

- W porządku, kochanie. Przyjrzyjmy się faktom. Jesteś w ciąży. Ze mną. Najrozsądniej byłoby się pobrać.

- Najrozsądniej - powtórzyła Raine z niesmakiem.

- Jak najbardziej. Wytłumacz mi proszę, dlaczego uważasz, że nasze małżeństwo nie ma szans na przetrwanie.

- Przeszłość - odparta bez namysłu. - Za dużo murów.

- To słowo chyba rzeczywiście nas przesładuje. A zatem przyjrzyjmy się tym murom. - Splótł palce jej dłoni ze swoimi.

- Sporna ziemia.

- Mur numer jeden.

- To, że nasz romans przed laty stał się powszechnie znaną tajemnicą.

- Numer dwa.

- I to, że zabiłem Papsa.

Uniosła się lekko i spojrzała na niego w ciemnościach.

- Już ci mówiłam, że za to cię nie winię.

- Doceniam to - odparł cicho. Raine czuła, że Lucien waży słowa. - Wiem, jak kochałaś Papsa, Raine. Świetnie go znałaś. Pozwól, że zadam ci pytanie: Czy sądzisz, że on chciałby nas rozdzielić? Po tym wszystkim, przez co przeszliśmy?

Raine zamyśliła się. Wówczas, gdy miała osiemnaście lat, Paps na pewno zrobiliby wszystko, by nie dopuścić do ich związku. Odwieczne spory o ziemię spowodowały, że nienawidził Kincaidów. Ale teraz, po tylu latach, chyba zaakceptowałby to, co najwyraźniej było nieuniknione. A gdyby dowiedział się o dziecku, na pewno naciskałby, żeby się pobrał.

- Paps chciałby, żebyśmy się pobrałi - przyznała w końcu.

- Zgadza się. Następny mur?

- Ludzie plotkowali na nasz temat. Wiem, że nie powinno mnie to obchodzić, ale...

- Raine - przerwał. - Musisz mnie raz wysłuchać. Przysięgam na wszystko, co jest dla mnie święte, że nigdy nikomu nie powiedziałem o nas ani słowa. Dlaczego miałbym to zrobić? Byłaś moją wymarzoną kobietą. Chciałem się z tobą ożenić. Chciałem cię chronić, a nie zdradzać! Mimo wszystko ludzie jakimś cudem się dowiedzieli. Kiedy zaczęli gadać, przyznaję, nie raz użyłem pięści. Oczywiście, to tylko potwierdziło plotki. Miałem dwadzieścia jeden lat i pod wieloma względami byłem idealistą.

- I chyba tak ci już zostało. Biedny Buster.

Lucien zachichotał.

- Uwielbiam pracować Bustera. Dobrze chociaż, że w obronie ideałów.

- OK, a zatem zburzyliśmy dwa mury. Resztę zostawmy w spokoju - powiedziała Raine chłodno.

- Chodzi ci o sporną ziemię? Jeśli się pobierzemy, ten problem sam się rozwiąże, prawda? Ziemia Kincaidów stanie się ziemią Featherstonów i odwrotnie. Nasze dzieci wreszcie będą się mogły bawić bez żadnych płotów i ogrodzeń. - Pieszczotliwym gestem położył dłoń na jej brzuchu. - Raine? Czy ty cieszysz się na to dziecko? - spytał cicho, z nagłą powagą w głosie.

Przykryła jego rękę swoją.

- Nie mogłabym być szczęśliwsza, Lucien. Zawsze chciałam mieć dzieci.

Jego usta odnalazły jej wargi w ciemności. Ten pocałunek był najbardziej czułą i radosną pieszczotą.

- Czy ja kiedyś mówiłem, że nie chcę mieć dzieci? - spytał po chwili. - Chyba wtedy wierzyłem, że mówię prawdę - powiedział ze zdziwieniem.

- A teraz? - wyszeptała Raine, a jej głos zdrzął.

- Teraz? Pragnę tego dziecka najbardziej na świecie. Chcę, byś była matką moich dzieci, Raine. Nie rozumiesz? Nasze małżeństwo to najrozsądniejsza rzecz, jaką możemy zrobić. Najlepsza i dla nas, i dla dziecka.

Najrozsądniejsza. Już raz to mówił. Raine z trudem złapała oddech. A więc nie miłość, tylko rozsądek. Lucien chce ją poślubić nie dlatego, że ją uwielbia i nie może bez niej żyć, ale dlatego, że to najbardziej praktyczne wyjście. Poczwała skurcz w gardle i nie potrafiła już powstrzymać łez.

- Nie musisz od razu odpowiadać - powiedział Lucien. - Po prostu się zastanów.

- Dziękuję, że usiłujesz mnie zrozumieć - odparła, starając się, by głos jej nie zdradził.

- A niech to! Chyba niezbyt dobrze mi idzie? - Pochylił się nad nią i wsunął palce w jej włosy. - Chcę tylko powiedzieć, że... Co to? Masz mokre włosy! - zawołał.

Raine zeszywniała.

- Proszę cię, idź już - szepnęła błagalnie.

- Ale dlaczego masz mokre włosy? - zapytał z troską Lucien. - Ty płaczesz?

- Nie zwracaj na to uwagi. To hormony.

- Nie kłam! To nie hormony - nie ustępował. - Przecież ty nigdy nie płaczesz. Nie płakałaś nawet na pogrzebie Papsa. Nie chcesz za mnie wyjść, prawda? - wychrypiął ze strasznym bólem w głosie.

Po raz pierwszy w życiu głos ją zawiódł i zrozpaczona zakryła twarz dłońmi.

- Ja już sama nic nie wiem. Proszę cię, idź stąd - wymamrotała po chwili.

- O nie. Nie zostawię cię w takim stanie.

- Proszę cię. Porozmawiamy rano.

- Tak, masz rację. Porozmawiamy rano. Ale nie zostawię cię samej - mówił wzburzonym głosem. - Za kogo ty mnie bierzesz? Nie jestem aż takim bydlakiem - powiedział i zdecydowanym gestem przygarnął ją do siebie. Otulił ją swymi ciepłymi ramionami i zaczął lekko kołysać.

- Znowu jesteś opiekuńczy - zaśmiała się przez łzy.

- Owszem. Niektórzy mężczyźni na widok łez zwiewają, gdzie pieprz rośnie, ale ja do nich nie należę.

- Przestraszyłam cię, prawda?

- A jakże. Ale jeśli chcesz sobie jeszcze trochę popłakać, proszę bardzo. Nie krępuj się. Popłaczemy razem.

Na chwilę rozbawienie wzięło górę, lecz Raine była zbyt smutna. Śmiech szybko zamarł i przywarła do Luciena, bezradnie szlochając. Po długim czasie, kiedy wreszcie Raine wypłakała się do woli, Lucien otarł jej mokrą twarz prześcieradłem i czule, choć bez namiętności, pocałował.

- To wszystko moja wina - oświadczył ponuro. - Nanna mnie ostrzegęła, ale oczywiście nie chciałem jej słuchać. Musiałem wszystko zawalić, po swojemu. Jutro jednak powiem ci całą prawdę. Mam w nosie konsekwencje!

Raine chciała zapytać, o czym on mówi. Próbowana wydobyć z siebie głos, zażądać wyjaśnień, ale zmęczenie wzięło górę. Zasnęła cicho i spokojnie.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Gdy Raine obudziła się następnego ranka, słońce stało już wysoko na niebie. Luciena nie było przy niej. Nagle przypomniała sobie, co jej obiecał, zanim zasnęła. Miał jej powiedzieć prawdę. Jaką prawdę miał na myśli? Wspomniał też o ostrzeżeniu ze strony Nanny. O co mogło chodzić? Jakie tajemnice ukrywał przed nią Lucien?

Z niecierpliwością wyskoczyła z łóżka. Wzięła szybki prysznic, ubrała się i zbiegła na dół. W drzwiach wyjściowych niemal zderzyła się z Lucieniem. Złapał ją w pasie i mocno przyciągnął do siebie.

- Dzień dobry, Raine! Dokąd ci tak spieszno? - spytał.

- Właśnie cię szukałam - wesoło odparła Raine.

- A więc już wszystko w porządku? - Przyglądał się jej uważnie.

- Nie zamierzam więcej płakać, jeśli o to pytasz - uspokoiła go. Usłyszała parsknięcie i wyjrzała na dwór. Przy werandzie stały Poke i Tickle, osiodłane, z torbami przytroczoneymi do boków. - Gdzieś się wybieramy? - spytała zdziwiona.

- Pomyślałem sobie, że może dla odmiany zjemy śniadanie na moim ranczu.

- I tam o wszystkim mi opowiesz?

Lucien wypuścił ją z objęć i spojrzał na nią z nagłą powagą.

- Nie byłem pewien, czy słyszałaś, co wczoraj powiedziałem - zaczął niepewnie, a gdy kiwnęła głową, ciągnął: - Tak,

tam wszystko ci opowiem. - Jego głos zabrzmiał ponuro. - Masz jeszcze mój brulion? Mówiłaś, że jest u ciebie.

- Tak, w biurku. Ciagle zapominam ci go oddać. - Mogła się domyślić, że ten zeszyt zawiera sekrety Luciena, skoro aż ryzykował własnym życiem, by wynieść go z pożaru.

Ruszyli po schodach do niewielkiego pokoju służącego za gabinet. Dziewczyna podeszła do biurka i z dolnej szuflady wyjęła brulion oprawny w skórę.

Nagle z zeszytu wyleciała kartka papieru i upadła na dywan. Oboje sięgnęli po nią w tym samym momencie, ale Raine była o ułamek sekundy szybsza. Kartka rozchyliła się w jej dłoni na tyle, by ukazał się nagłówek czegoś, co zdawało się być listem. Raine z okrzykiem zdziwienia upuściła go. Miała straszne przecucie, że nie powinna poznać jego treści.

- Podnieś go - powiedział Lucien cichym, beznamiętnym tonem.

Raine powoli schyliła się i rzuciła okiem na kartkę. Jedna chwila starczyła, by jej podejrzenia się potwierdziły.

Był to list Bucka Kincaida do Nanny, w którym ofiarowywał jej sporną ziemię.

Raine przez długą chwilę wpatrywała się w list. Nie wierzyła własnym oczom.

- A więc miałeś go - wyszeptała chrapliwie. - Nie wiem, skąd, ale miałeś go przez cały ten czas. Prawda?

- Tak.

Raine wpatrywała się w pieczęć i podpis notariusza. Potem spojrzała na datę - dzień, w którym pochowano Papsa. Jakim cudem list dostał się w ręce Luciena? Nie pojmowała tego. Czuła, że to ją przerasta, że nigdy nie zrozumie dziwnego splotu okoliczności, które na zawsze odmieniły jej życie. Jednak to były niepodważalne fakty. Nie dało się im zaprzeczyć.

- Proszę, powiedz mi, że znalazłeś niedawno. - Usiłowała

znaleźć wyjaśnienie. - Powiedz, że twoja babcia wykradła ten list. Że nie wiedziałeś o nim, kiedy zmusiłeś Nannę do oddania ci ziemi - dokończyła z trudem.

- Dostałem go rok temu.

Nie mogła w to uwierzyć.

- A więc kłamałeś, mówiąc, że ta ziemia należy prawnie do ciebie. Nic dziwnego, że czułeś się panem sytuacji, skoro jedyny dowód twego oszustwa znajdował się w twoich rękach! Dopóki ty miałeś ten list, Nanna nie mogła upomnieć się o swoją ziemię.

- Raine, to bardziej skomplikowane. Musisz...

Nie pozwoliła mu skończyć. Roześmiała się głośno.

- Bardziej? O nie, wszystko jest całkiem jasne! - Patrzyła na niego z nieopisanym bólem i gniewem. - Jak mogłeś mi to zrobić?! Wykradłeś nam ziemię i odgrodziłeś nas od niej kilometrami drutów. Odciąłeś nas od źródła wody! Omal nie zrujnowałeś nas finansowo. Jak mogłeś! - krzyczała.

- Czy dasz mi szansę, żebym to wytłumaczył?

- A czy ty oddasz mi moją ziemię?

Pokręcił głową z rozpaczą.

- Wierz mi, nie mogę.

- A więc nie mamy już o czym rozmawiać.

Raine próbowała przejść obok niego, ale złapał ją i mocno przytulił. Nie była w stanie wyswobodzić się z tego uścisku. Lucien najwyraźniej nie zamierzał grać fair i postanowił wykorzystać przewagę fizyczną.

Jak kilka godzin może na wszystkim zaważyć, pomyślała cierpko. Jeszcze niedawno te same ramiona dawały jej siłę i poczucie bezpieczeństwa. A teraz? Pokazywały jej, że jest mała i bezradna. Były jej wrogiem. Jak mógł wykorzystać jej bezsilność i bezlitośnie uderzyć w najbardziej czuły punkt?

- Puść mnie, Kincaid.

- Jak to, Raine? Nie zadajesz żadnych pytań, nie masz żad-

nych wątpliwości? Jestem winny i to wszystko? A może po prostu szukasz wymówki, żeby postawić między nami kolejne mury? Bo tak najłatwiej. - W jego oczach zalśnił gniew. A może żal i rozczarowanie. - Ledwie udało mi się zniszczyć jeden mur, już stawiasz następny. Żebym tylko nie ośmielił się wkroczyć na twoje terytorium?

- Właśnie! Dokładnie tak! Możesz mnie uważać za jeden wielki znak „Wstęp wzbroniony!”.

- Ty chyba nigdy nie spróbujesz mnie zrozumieć. Kiedy zaczniesz mi ufać wbrew wszelkim poszlakom?

- Jak mogę ci ufać? Spójrz na siebie. Małżeństwo ze mną rozwiązałyby wszystkie twoje problemy. Dostałbyś nie tylko sporną ziemię, ale całą posiadłość Featherstonów. Super by było, prawda? Ale nie ze mną takie gry, Kincaid. - Raine wyrwała się wreszcie z jego objęć i pobiegła w stronę drzwi.

Lucien ruszył za nią.

Na dole Raine chwyciła swój kapelusz, wcisnęła go na głowę i podbiegła do Tickle. Jednym skokiem dosiadła kłaczy. Nim Lucien zdążył dobiec do Poke'a, klepnęła konia lekko, szepcząc cicho:

- Do domu, Poke. Do domu.

Koń posłusznie ruszył galopem w stronę posiadłości Kincaidów. Lucien z wściekłością tupnął nogą, klnąc siarczyście.

Raine odwróciła się i siłąc się na spokój, powiedziała:

- Zburzyłeś o jeden mur za wiele, Lucien. Ten powinien być stać. Czasem lepiej jest zostawić niektóre sprawy niedopowiedziane, uwierz mi.

- Nanna uważa inaczej.

- Cóż, po raz pierwszy od siedemdziesięciu dwóch lat się myli. Gdybym nie dowiedziała się o liście, pewnie dałabym się przekonać i wyszłabym za ciebie za męża. Urodziłabym ci tuzin rumianych dzieciaków.

- Na razie wolę myśleć o tym dziecku, które już jest - cicho odparł Lucien.

Na to Raine nie potrafiła nic odpowiedzieć. Dała znak Tickle i bez słowa ruszyła galopem. Klaczy udzieliły się chyba emocje pani, bo pomknęła jak szalona w stronę drogi. Wkrótce zniknęły za pagórkami.

Dopiero po chwili Raine ochłonęła i zdała sobie sprawę z ryzyka, na jakie naraża dziecko. Natychmiast zwolniła, przeklinając swoją bezmyślność. Właśnie dojechała do rzeczki, do której dostępu broniło ogrodzenie wzniesione przez Luciena. Nie, nawet on nie mógł być tak okrutny, wiedząc, jak bardzo cenna i jak droga jest jej ta ziemia.

A jednak był. Czym innym mógłby się kierować, jeśli nie chciwością? Ale on nie był chciwy. Przecież go znała. Musiał zatem uwierzyć, że ta ziemia prawnie mu się należy.

Nieważne, czym się kierował. Żadna siła nie powstrzyma jej przed wejściem na swoje terytorium. Zeskoczyła z Tickle i przywiązawszy wodze do jednego ze słupeków, kazała klaczy ciągnąć w drugą stronę. Po chwili słupek ustąpił i upadł.

*Nie zadajesz żadnych pytań, nie masz żadnych wątpliwości? Jestem winny i to wszystko?*

Słowa Luciena bez przerwy dzwoniły jej w uszach. Tak! To wszystko. Był winny, a ona nie zamierzała wysłuchiwać jego czcnych opowieści i wątpliwych wyjaśnień. Jest uparta? I co z tego? Po co miałyby go słuchać, skoro on nie ma jej już nic do powiedzenia?

Jednak gdzieś w głębi duszy nękały ją wątpliwości, a w sercu czaił się żal, rosnący i nie dający spokoju. Przypominała sobie wyraz oczu Luciena. Widziała w nich ból, gniew, rozczarowanie. Tylko jakim prawem on odczuwa to, do czego właśnie ona ma podstawy! Wyłącznie ona!

Zdjęła kapelusz z głowy i otarła spocone czoło. Niepokoiła

ją jedna rzecz. Skoro to ją spotkała krzywda i jeśli ona ma rację, dlaczego czuje się winna? Zacisnęła usta i zajęła się wyrwaniami słupków zagradzających dostęp do spornej ziemi. Po dłuższym czasie przerwała pracę, czując, że ogarnia ją niepohamowana rozpacz. Bezsilnie osunęła się na ziemię i zaczęła płakać, najpierw cicho, a potem coraz głośniej.

*Kiedy zaczniesz mi ufać, wbrew wszelkim dowodom przeciwko mnie?*

Te słowa Luciena najbardziej nie dawały jej spokoju. Być może dlatego, że w przedziwny sposób trafiły w sedno sprawy. To prawda, nigdy mu nie ufała. Ani kiedy miała osiemnaście lat, ani teraz. A przecież, kiedy się nad tym zastanowić, zawsze robił wszystko, by ją chronić. Można by rzec, że wyspecjalizował się w roli rycerza, czym tak często doprowadzał ją do szału. Uśmiechnęła się przez łzy. Bił się w obronie jej honoru. Osłaniał ją podczas burzy. Sam się wtedy mocno poturbował. A kiedy walący się wąż omal jej nie zabił, pospieszył jej na ratunek. Dla niej wystawiał się na niebezpieczeństwo. A teraz chciał też wziąć odpowiedzialność za ich dziecko. Jak mogła to wszystko przeoczyć?

Raine pokręciła głową. Nie przeoczyła. Po prostu się oszukiwała. W głębi duszy zawsze wiedziała, że Lucien jest godnym zaufania, odpowiedzialnym mężczyzną.

Pozostawało tylko jedno pytanie: Dlaczego ukradł ich ziemię? Mogłaby przysiąc, że jest zbyt honorowym i uczciwym człowiekiem, by uczynić coś podobnego.

Musiał więc istnieć jakiś powód. Jakieś wytłumaczenie.

A może powinna mu zaufać? Uwierzyć na słowo, nie żądać wyjaśnień. Uznać, że za obciążającymi go faktami kryje się jakaś nieznaną jej racja.

Powoli nabierała przekonania, że słusznie rozumuje. Jeszcze raz przeanalizowała wszystko od początku.

Jeżeli Lucien nie ukradł ani ziemi, ani listu, to jakim cudem wszedł w ich posiadanie?

I nagle pojęła.

Lucien osiodłał jednego z koni zaprzęgowych Featherstonów. Zajął mu to sporo czasu, ale on się nie spieszył. Chciał dać Raine czas do zastanowienia. Zabrał ze sobą brulion i ów nieszczęsny list. Z dużym prawdopodobieństwem mógł zgadnąć, dokąd pojechała Raine, mimo to gwizdnął na Psa i rozkazał krótko:

- Szukaj pani.

Pies nie potrzebował większej zachęty. Bez wahania ruszył w stronę granicy ze sporną ziemią.

Lucien myślał o tym, co powiedziała Raine o murach, których nie powinno się burzyć i o tajemnicach, których nie należy wyjawiać. Zgadzał się z nią. I choćby nie wiadomo co miało się stać, ten ostatni sekret pozostanie nieodkryty.

Już z daleka zobaczył Raine. Siedziała pochylona na ziemi, a obok leżały słupki i drut kolczasty z ogrodzenia.

- Niepotrzebnie sama się za to zabrałaś! - zawołał, by przygotować ją na swoje przybycie. - Chciałem ci je ofiarować wraz z pierścieniem zaręczynowym.

Ku jego zdumieniu, plecy Raine zaczęły konwulsyjnie drgać. Wtuliła głowę w ramiona.

A niech to lichu! Znów doprowadził Raine do łez!

Pies podbiegł do pani i skomlał cicho, lizał jej twarz i rękę. Lucien zeskoczył z konia i również podbiegł do dziewczyny. Najchętniej scałowałby natychmiast łzy Raine. Objął ją więc i przytulił. Przez dłuższą chwilę łkała wtulona w jego ramiona. Tak jak poprzedniej nocy.

Wreszcie Lucien zapytał szeptem:

- Raine, co się stało, że pozwoliłaś mi się dotknąć? To zna-

czy... szczerze mówiąc, myślałem, że w najlepszym razie oberwę w nos.

- Miałam czas, by się zastanowić.

- I to ci dobrze zrobiło, tak?

- Powinłam była to zrobić o wiele wcześniej. Jestem kompletną idiotką. Nie rozumiem, jak mogłam ci nie ufać.

Lucien odetchnął głęboko. Nie wierzył własnym uszom. A jednak udało się. Jakimś cudem osiągnęli porozumienie. Teraz musi tylko zachowywać się niezwykle ostrożnie, a wszystko dobrze się ułoży.

- Nie martw się, Raine. To tylko kawałek ziemi. Był tu tysiące lat przed nami i pozostanie tysiące lat po naszym odejściu.

- Mylisz się, Lucien. Ta ziemia jest dla mnie szczególnie cenna. - Raine z trudem przełknęła ślinę. - Widzisz, tutaj rozsypałyśmy prochy Papsa.

Lucien drgnął.

- Tak mi przykro, Raine. Zapewniam, że gdybym wiedział, nigdy w życiu... - Urwał, przeklinając w duchu swoją bezmyślność. O mało się nie zdradził.

Raine odsunęła mu delikatnie kapelusz z czoła i spojrzała mu prosto w oczy.

- Nanna nie powiedziała ci o tym, zanim sprzedała ci tę ziemię? Inaczej nie kupiłbyś jej, tak? To właśnie tego kawałka układanki mi brakowało, prawda? - Oczy Luciena powiedziały jej wszystko. - To Nanna dała ci list. Rok temu, kiedy nasza sytuacja finansowa osiągnęła dno, zwróciła się do ciebie. A ty za jakąś niebotyczną sumę kupiłeś od niej sporną ziemię?

Pogładził ją po policzku.

- Nie za bardzo niebotyczną cenę - przyznał w końcu.

- I Nanna poprosiła cię, byś nie mówił mi prawdy?

- Tak. Pewnie miała nadzieję, że pobiegiesz za mną i bę-

dziesz żądać wyjaśnień. To był jakiś sposób, żeby rzucić nas sobie w ramiona. Nie przewidziała tylko, że to może nas jeszcze bardziej od siebie oddalić. - Lucien spojrział na Raine z zainteresowaniem. - Jak na to wpadłaś?

Raine zmęczonym gestem zrzuciła kapelusz z głowy. Wyglądała na wyczerpaną, ale szczęśliwą.

- Zaczęłam się zastanawiać, jak to możliwe, że trzymałeś dokument świadczący przeciwko tobie na samym wierzchu. Tylko skończony idiota nie spaliłby tego listu.

- Dzięki - uśmiechnął się Lucien.

Odpowiedziała mu uśmiechem, choć w jej oczach wciąż jeszcze lśniły łzy.

- A ponieważ ty nie jesteś aż takim idiotą, musiałam poszukać innego rozwiązania. Przypomniał mi się pożar. Już wcześniej zastanawiało mnie, dlaczego ryzykowałeś życie dla jakiegoś brulionu. Dopiero teraz zrozumiałam, że chodziło o list.

Boże, miej w opiece ich dzieci! Jeśli kiedykolwiek będą chciały zachować coś w tajemnicy przed Raine, marne ich szanse!

Raine przełknęła łzy. Lucien usiłował ją uspokoić.

- Raine, przestań, proszę cię. To wszystko nie jest warte twojego cierpienia.

- Owszem - wydusiła Raine. - Musimy z tym wreszcie skończyć. Myślę, że może po śmierci Nanny udało ci się, że odnalazłeś list. Wtedy zamierzałeś zwrócić mi sporną ziemię.

- Rzeczywiście, coś podobnego chodziło mi po głowie. Ale teraz to już nieważne. Kiedy się pobierzemy, ten problem sam się rozwiąże.

- O nie. To ważne. Inaczej wciąż między nami będzie mur. Lucien uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Przecież już wszystkie zburzyłaś!

- Tak? - zapytała Raine sceptycznie. - Przed czym jeszcze

usiłujesz mnie ochronić, Lucien? Powiedz, jaką jeszcze kryjesz tajemnicę?

Pies zaczął uderzać Luciena łapą, skamłając błagalnie. Lucien wstał gwałtownie.

- Przestańmy zajmować się przeszłością! Sama powiedziałaś, że niektórych tajemnic lepiej nie odkrywać. - Pies zaczął ujadać i rzucać się na Luciena. - O co ci chodzi, stary łobuzie? - Lucien zmierzył Psa gniewnym wzrokiem. - Myślałem, że jesteśmy kumplami?

- Z jakichś powodów mu się nie podobasz. Może dlatego, że wyczuwa mój nastrój. No, Kincaid! Wyrzuć to wreszcie z siebie. Co jeszcze przede mną ukrywasz?

- To nie ma nic wspólnego z nami. - Nie zwracając uwagi na Psa wczepionego zębami w nogawkę jego spodni, Lucien podał rękę Raine i pomógł jej wstać. - Raine, wyjdiesz za mnie?

Dziewczyna przechyliła głowę na bok i z nutą kpiny w głosie spytała:

- Dlatego, że to najbardziej rozsądne wyjście?

- A więc tak to wczoraj zabrzmiało? - Lucien parsknął śmiechem. - I o to się gniewałaś! Raine, przecież wiesz, że marzę o tobie od wielu lat. Kocham cię do szaleństwa. Nie wystarczy na mnie spojrzeć, żeby to zrozumieć?

Popatrzyła na niego promiennym wzrokiem.

- A więc pobierzemy się z miłości, a nie dlatego, że to bardzo praktyczne rozwiązanie?

Złapał jej rękę i ścisnął.

- Z miłości. Bez niej umrę. Wyjdź za mnie. Nie ze względu na dziecko, ale dlatego, że też nie możesz beze mnie żyć! Będziemy mieli jedno albo tuzin dzieci, to nie ma dla mnie znaczenia. Bylebyś ty była ich matką. I moją żoną. Wyjdiesz za mnie?

W tym momencie Pies rzucił się na Luciena, szarpiąc zębami koszulę na jego piersi.

- O co chodzi? - spytała cicho Raine.

- Nie mam pojęcia! Jego zapytaj - odparł Lucien, odsuwając się o krok i mierząc Psa groźnym wzrokiem.

Raine rozchyliła poszarpaną przez Psa koszulę, szukając szerokiej blizny, którą widziała na ciele Luciena owej burzliwej nocy. Wyciągnęła rękę, by jej dotknąć, ale zawahała się.

- Nigdy nie powiedziałeś mi, jak to się stało.

- O Boże, kobieto! Dałabyś spokój. Mówiłem ci, że faceci nie znoszą opowiadać o swoich słabościach.

- Kiedyś mówiłeś, że to rana zadana przez byka. Myślisz, że nigdy nie widziałam blizny po ranie postrzałowej? - Potrząsnęła nim. - Mów! - rozkazała. - Kto to zrobił?

- Raine.

- To stało się tego dnia, kiedy on zginął, prawda? - A gdy Lucien milczał, ciągnęła: - Strzelał do ciebie?

- Nie.

Raine rozchyliła koszulę i drżącymi rękoma dotknęła blizny.

- Paps do ciebie strzelał, prawda? Tylko nie kłam.

- Daj spokój, Raine.

- Ale dlaczego. - Raine zmarszczyła brwi. - Zaraz. Przecież nie strzelałby z powodu spornej ziemi. To raczej Buck mógłby z tobą o to walczyć.

Lucien tylko pokręcił głową.

- A więc o co mu chodziło?! - krzyknęła Raine. Nagle pojęła i zakryła oczy. - Nie, nie. To niemożliwe!

- Raine, najdroższa, przestań. To już nieważne. - Lucien poczuł, jak jej ból przeszywa go na wskroś.

Ale Raine nie słyszała jego słów.

- Poszedł za tobą ze strzelbą, bo dowiedział się, że byliśmy ze sobą, prawda? To wszystko moja wina! Zginął przeze mnie!

- Przestań, Raine! - Oto latami ukrywana prawda wyszła na jaw. - Twój dziadek zginął, bo był głupcem! Wziął broń, myśląc, że trzeba będzie zmuszać mnie do małżeństwa z tobą. Nie wiedział, że zrobiłbym wszystko, żeby się z tobą ożenić. Ale tego dnia szeryf wypuścił mnie z aresztu po bójce z Busterem. Jeszcze do końca nie oprzytomniałem, więc pewnie powiedziałem coś niejasnego. No i Paps opacznie pojął moje słowa. Coś sobie uroił! A był w takim amoku, że w ogóle nad sobą nie panował. Wymachiwał strzelbą jak zabawką. Trudno się dziwić, że staruszka wypaliła. I trochę mnie zadrasnęła.

Oszołomiona Raine bez słowa kręciła głową.

- Paps nie zamierzał mnie skrzywdzić. Naprawdę. Najgorsze stało się potem. - Lucien zamknął oczy, by nie widzieć zbolalej twarzy Raine. - Do końca życia będę tego żałował. Mogłem się wycofać. Udawać martwego. A ja rzuciłem się na niego i usiłowałem wyrwać mu strzelbę. No i stało się.

- Dlaczego nigdy nie powiedziałaś mi prawdy? - drżącym głosem spytała Raine.

- Paps był wspaniałym człowiekiem. Nie mogłem... nie chciałem szargać jego imienia. Zwłaszcza po śmierci.

- Nie chciałeś zrzucić go z piedestału, na jakim go postawiłam - szeptem dokończyła Raine. - Więc wzięłeś winę na siebie.

- Zamierzałem kiedyś ci powiedzieć. Ale potem nie chciałaś mnie już do siebie dopuścić, pamiętasz? - Lucien podszedł do konia i wyjął z torby swój brulion. - Tutaj wszystko jest opisane.

Raine usiadła na trawie i zaczęła kartkować zeszyt. Z początku wszystkie notatki, datowane na krótko przed śmiercią Papsa, dotyczyły pracy i codziennych wydarzeń na ranczu. Potem następowała długa przerwa, po czym, pisane drżącą ręką, pojawiły się listy adresowane do niej. Raine ze łzami w oczach czytała szczegółowy opis tragicznych wydarzeń. Prośbę o wybaczenie, słowa miłości, żalu, tęsknoty.

- Nigdy nie wysłałeś tych listów - szepnęła.
- Nie mogłem - odparł z prostotą.

Raine czytała dalej. Strona po stronie dowiadywała się, co przez te wszystkie lata rozłąki przeżywał Lucien. W pewnym momencie ton zapisków zaczął się zmieniać. W miejsce rozpaczki pojawiło się poczucie winy i chęć uchronienia ukochanej przed prawdą.

Kiedy skończyła czytać, długo siedziała skulona, starając się opanować targające nią emocje. Wreszcie wstała i podeszła do Luciena. Rzuciła mu się w ramiona.

- Czy teraz nie ma już między nami żadnych tajemnic? - szepnęła.
- Nie. Przysięgam.

Odsunęła się i z gniewem zawołała:

- Kocham cię, Kincaid, ale jeśli kiedykolwiek znów będziesz chciał grać rycerza w lśniącej zbroi, jeśli jeszcze kiedyś przyjdzie ci do głowy, żeby mnie chronić, to, dam słowo, nie będziesz w stanie chodzić o własnych siłach przez miesiąc! Rozumiesz? - Zaśmiała się przez łzy.

- Dobrze, od dzisiaj to ty będziesz mnie ochraniać - zgodził się Lucien i wziął ją w ramiona.

Po chwili leżeli na trawie, złączeni czułym uściskiem. Całowali się długo. W końcu Lucien oderwał usta od jej warg i unosząc głowę, szepnął:

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie, Raine. Wyjdiesz za mnie?

- Oczywiście, że tak - powiedziała Raine ze łzami w oczach i położyła jego dłoń na swoim brzuchu.

- Zgadzasz się dlatego, że mnie kochasz, czy też dlatego, że to najbardziej rozsądne rozwiązanie? - zaśmiał się Lucien.

- Szczerze mówiąc, małżeństwo z tobą to prawdopodobnie najmniej rozsądna decyzja w moim życiu. Ale jak można mówić o rozsądku w przypadku kobiety zakochanej do szaleństwa?

Lucien przytulił ją mocno i całował z radością człowieka, który przez wiele, wiele lat żył w ciemności, aż wreszcie wyszedł na światło. Człowieka, któremu w ostatniej chwili darowano życie.

- Żegnajcie mury i płoty! - radośnie zawołała Raine.

- Obiecuję, że już nigdy nic nas nie rozdzieli - zawtórował jej Lucien.

Przez niekończącą się chwilę leżeli w ciszy, tuląc się do siebie. Odwieczni kochankowie, którzy omal nie rozminęli się ze swoim szczęściem i przeznaczeniem.

W końcu Lucien wsparł się na łokciu i powiedział:

- Wiesz, że jeszcze nie wybraliśmy imienia dla dziecka?

- Zawahał się na moment, po czym z udaną obojętnością zaproponował: - Co byś powiedziała, gdybyśmy je nazwali Nanna?

Raine zaśmiała się cicho.

- Jesteś pewien, że chcesz, by nasza córka nazywała się „Babunia“?

Lucien zamilkł na moment, by odzyskać powagę.

- To piękne imię. Moglibyśmy wołać na nią Bubby. Bubby Kincaid, co za słodkie połączenie.

- A jeśli to będzie chłopiec?

- Może nazwiemy go imieniem Papsa? - bez zastanowienia zaproponował Lucien. - Jak naprawdę miał na imię Paps? Bo to tylko pseudonim, prawda?

Raine z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

- Tak. Zgoda, możemy tak nazwać naszego synka. Ale nie miej do mnie pretensji, że cię nie ostrzegałam!

- Co to znaczy? - zapytał Lucien ostrożnie. Raine wybuchnęła niepohamowanym śmiechem. - No, Raine, wyduś to z siebie. Będę wołał na niego Patrycjuszu, Archibaldzie, a może Dragoniuszu? Mam tylko nadzieję, że to nie coś w stylu Maria?

- O nie, to na pewno nie jest dziewczęce imię. Wręcz przeciwnie! Kojarzy mi się z pewnym macho!

- Raine!?

- OK. Ale nie zapominaj, że to był twój pomysł. - W jej oczach zabłysło cudowne połączenie nieskończonej miłości i radości. - Lucien, twój synek będzie miał na imię Buster!

## EPILOG

Shadoe nalał szampana do dwóch smukłych, kryształowych kieliszków i podał jeden z nich Adelajdzie. Pijąc, spoglądali na przepięknie ukwiecony ogród.

- Przyjmij moje gratulacje - powiedział Shadoe. - Tym razem udało nam się niemal cudem.

Adelajda uśmiechnęła się szeroko do machających jej Raine i Luciena. Nowożeńcy właśnie pozowali do zdjęć w różanej altance. Obok nich stali z jednej strony Tess z Shayde'em, a z drugiej Emma i Gray.

- Rzeczywiście - odparła Adelajda. - Szczególnie ten zabieg z listami był dość ryzykowny.

Shadoe rzucił matce podejrzliwe spojrzenie.

- Przyznaj się, przeczuwałaś, że nadchodzi burza?

Adelajda lekceważąco machnęła ręką.

- A skąd miałabym to wiedzieć?

Oboje patrzyli na Luciena czule obejmującego swoją młodą żonę. Jego ręka co chwila bezwiednie wędrowała ku nieco zaokrąglonemu brzuskowi Raine.

Po chwili Adelajda została sama. Z zamyślenia wyrwał ją starszy jegomość ze zwisającym między wargami cygarem i laską w dłoni.

- No, Addie. Świetnie nam poszło, nie uważasz? Nikt niczego nie podejrzewał. - Zaśmiał się rubasznie, siadając obok.

- O tak, Tee. Wspaniale. Mam tylko jedno zastrzeżenie. Wysłałeś listy akurat przed burzą. To nie był przypadek, prawda?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - zachichotał staruszek i zatarł dłonie.

- A to, że konie uciekły?

- Thomas Tee Palmer nie uznaje półśrodków - odparł Tee radośnie. Zerwał wonną różyczkę i podał ją Adelajdzie z galanterią. - A więc, Addie, zatrudnisz mnie na swojego osobistego asystenta?

- Przecież już od dawna jesteś zatrudniony - odparła Adelajda, spoglądając w stronę syna. Stał nieopodal, gawędząc z ożywieniem z jakąś oszałamiającą blondynką. - Mam nawet na oku pewne wyzwanie.

Tee powiódł wzrokiem w tę samą stronę.

- Masz na myśli swojego syna?

- Syna i nieznośną córunię. Naprawdę już pora, żebyśmy została babcią! A skoro Tess i Shayde się nie spieszą, sama muszę ruszyć do ataku.

- Ja wkrótce zostanę pradziadkiem. - Tee dumnie wypiął pierś i z miłością spoznał na przechadzającą się Emmę.

- Gratulacje! - zawołała Adelajda. - A zatem, Tee, mianuję cię naczelnym Prowokatorem.

- Jeśli tylko wszystkie chwytaki będą dozwolone. - Zatarł dłonie. - I idę o zakład, że nim upłynie rok, zostaniesz potrójną babcią.

Raine wyszła z bawialni, cicho zamykając za sobą drzwi. Zasiadła przed komputerem, by dokończyć pisanie listu do Tess i Emmy.

*A więc, jak już wam pisałam, nazwaliśmy naszą córeczkę Nanna, na cześć babci Nanny. Jeśli będziemy mieli kiedyś synka, nazwiemy go imieniem dziadka Papsa. Kiedy mój kochany mąż stał się nadopiekuńczy, po prostu wołałam na Bubby „Buster” i natychmiast mu przechodzi Chodzi potem najeżony*

przez kwadrans. *Buster to imię faceta, z którym Lucien od wieków drze koty. Buster uwielbia łamać nosy, a szczególne upodobanie znajduje w nosie Luciena. (Muszę wam się przyznać, że nabrałam Luciena, że Paps miał na imię Buster. Podła jestem, prawda? Któregoś dnia będę musiała powiedzieć, że tak naprawdę dziadek miał na imię John).*

*Emmo - dzięki za wideo z małym Tommym Tee. Jakże on ślicznie chodzi! Zupełnie jakby miał dwa latka, a nie zaledwie roczek.*

*Tess - czy już wybrałaś imiona dla dzidziusia? Dobrze, już dobrze - wiem, że to jeszcze sekret. Ale Nanna mówi, że jesteś w ciąży. A znasz Nannę. Kiedy tak mówi, to możesz już szykować pokój dziecienny. Skłaniaj się w stronę błękitów (to tylko taka sugestia).*

*Jeszcze jedno. Mam pewien pomysł. Gdyby nasze dzieciaki nie znalazły swoich drugich połówek przed trzydziestką... Co byście powiedziały na to, żebyśmy zatrudniły nasz ulubiony Klub Samotnych Serc?*

*Ściskam was i całuję. Odzywajcie się często, wasza kochająca Raine.*

*PS Z tym Klubem Serc to oczywiście żarty.*

*PPS Chociaż...*